Wspomnienia...

Spis treści

---Krystyna Kucharczyk.....3
---Hanna Matfin.....11
---Aleksandra Michalak.....72
---Janusz Kuźnieców.....116
---Ewa Cieślińska.....123
---Harcerstwo.....131
---Koło Teatralne.....158

---Krystyna Kucharczyk

uczennica szkoły od 1963 r., instruktor harcerski, od 1986 r. pracownik szkoły: nauczyciel i wicedyrektor

Moje pierwsze wspomnienie związane ze szkołą to otwarcie nowego budynku szkolnego, nadanie imienia i wręczenie sztandaru w lipcu 1963 roku. Miałam siedem lat i byłam na tej uroczystości z moimi rodzicami. We wrześniu 1963 roku zostałam uczennicą klasy pierwszej. Kierownikiem szkoły był Roman Michalski, nauczycielami byli: Janina Bogucka(moja wychowawczyni), Barbara Radzikowska, Sabina Gałkowska, Józef Dędys i Stanisław Płatkowski. Na tamte czasy szkoła w Dziekanowie była szkołą bardzo nowoczesną. Przyjeżdżały wycieczki żeby obejrzeć pracownię fizyczną czy pracownię biologiczną, oczko w głowie kierownika szkoły Romana Michalskiego.

Życie szkolne wyglądało trochę inaczej niż teraz. Oczywiście tak jak teraz żeby zdać i mieć dobre oceny trzeba było się uczyć. Były klasówki i odpytywanie. Pamiętam, że ciągle wycinaliśmy litery na gazetki i transparenty. Często były różne akademie, spotkania z ciekawymi ludźmi, z kombatantami. O zieleń i teren boiska dbali wtedy uczniowie. Grabienie, kopanie, sadzenie, pielenie to było nasze zadanie. Jak ktoś podpadł zostawał w „kozie" i grabił, zamiatał i sprzątał. Wiórkowanie podłóg też się zdarzało, ale nikt się nie buntował. Traktowaliśmy to jako rzecz normalną, a nawet dobrą zabawę. Dwa razy w roku wędrowaliśmy z motykami, grabiami, miotłami na cmentarz w Kiełpinie i sprzątaliśmy mogiły żołnierskie. Nie było telefonów komórkowych wiec na przerwach wszyscy ze sobą rozmawiali, grali w różne gry (piłka, klasy, guma) czasem tańczyli i śpiewali. Bardzo pracowicie ale wesoło przeleciało mi osiem lat podstawówki. Potem miałam kilka lat przerwy, po których wróciłam do szkoły w Dziekanowie jako instruktor ZHP (zuchem a harcerzem byłam przez całe osiem szkolnych lat). Szkoła w Dziekanowie zawsze była dla harcerzy otwarta. Zbiórki, biwaki, rajdy, bale, akcje letnie. Oj działo się dużo. I tak przeleciało następne dziesięć lat. Znów krótka przerwa, a od 1986 roku praca zawodowa czyli następne 37 lat. Przez te lata poznałam i pracowałam z wieloma wspaniałymi ludźmi. Trudno wszystkich wymienić, ale Pani Janina Bogucka moja wychowawczyni przez osiem lat, później dyrektor szkoły, to osoba, która była dla mnie wielkim autorytetem. Nauczyła mnie zauważać innych ludzi. Pani Alina Majewska natomiast uczyła mnie jak być nauczycielem. Jak pojętną byłam uczennicą, tego nie mogę obiektywnie ocenić, ale jeśli uczę już czterdzieści lat, to może nie jest źle. Koleżanki i koledzy, z którymi pracowałam i nadal pracuję to tak jakby moja druga rodzina. Dawniej co prawda miewaliśmy więcej czasu na rozmowy, kontakty osobiste (obecnie mamy tyle udogodnień, tyle sprzętu elektronicznego, który nas wyręcza) obecnie jest go dużo mniej, ale najważniejsze że pracuję ze wspaniałymi ludźmi. W tej szkole zawsze była i jest wyjątkowa, miła atmosfera. Lekcje, wycieczki, warsztaty, zielone szkoły, nocowanki w szkole, przedstawienia, spotkania z rodzicami i moi uczniowie, których aż trudno zliczyć. Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej w Dziekanowie Leśnym to moje miejsce na ziemi, w którym jak na razie spędziłam pięćdziesiąt pięć lat.

Rok 1963: w drugim rzędzie, druga od lewej

Rok (ok). 1980

Rok szkolny 1987/88: ślubowanie klas I (pasowanie na ucznia)

Rok 2003

Rok szkolny 2013/2014: z klasą "0A"

Rok 2022

---Hanna Matfin

nauczyciel, nauczyciel bibliotekarz, dyrektor szkoły

„Tyle było dni... do utraty tchu,

do utraty sił… tyle było chwil.”

W mojej szkole, w moim drugim domu, w moim Dziekanowie do którego 40 lat dzień po dniu przychodziłam, przyjeżdżałam, przybiegałam.

Tu wszystko się zaczęło… za Świętym naszym Wielkim Polakiem Janem Pawłem II – Papieżem pozwolę sobie powtórzyć:

„Tu wszystko się zaczęło i praca się zaczęła…

i miłość się zaczęła...i... szkoła – życia się zaczęła.”

To nie było miejsce gdzie się odhacza obecność, a po wyjściu zapomina o wszystkim. To ponad 40 lat bezustannego myślenia o tych „małych wielkich”, których nam dano pod opiekę.

Zaufano nam i powierzono „diamenty do obrobienia – oszlifowania, każdy inny, więc o każdy należało inaczej dbać, inaczej pielęgnować. Były to więc lata główkowania, rozkminiania ich spraw, sytuacji w jakich się znajdują, lata poszukiwania odpowiedzi na tysiące pytań :

- dlaczego tak?
- co mogło mieć na to wpływ?
- powinnam?
- mogę?
- zadziała?
- nie zaszkodzi?
- ukoi?

Ponad 40 lat trudów, rozstań… bo nauczyciel nauczania początkowego „szlifuje zestaw diamentów” przez trzy lata, a potem wędrują one pod skrzydła następnego wychowawcy, do ciebie zaś trafią nowe, drogocenne lecz jeszcze surowe klejnoty.

Wiele łez wylaliśmy przy rozstaniach. Wypuściłam spod swoich skrzydeł wiele roczników, w końcu stając się babcią, ucząc następne pokolenie – dzieci moich wychowanków.

Co pozwoliło mi przetrwać w tym zawodzie?

Niewątpliwie miłość do ludzi – począwszy od tych najmniejszych, najbardziej bezbronnych i potrzeba pochylania się nad nimi, nieodparta potrzeba wspólnego rozwiązywania ich małych supełków, żeby nie urastały do dużych i trudnych, aby ci malutcy, bez obciążeń mogli prostą drogą wędrować przez życie.

Do pracy na teren Gminy Łomianki przyjechałam w 1983 roku jako Hanna Pecura, z trzyletnim doświadczeniem w nauczycielskiej pracy. Wcześniej od 1980 roku pracowałam w gminnej szkole w Andrzejewie, na terenie województwa łomżyńskiego.

Nie bez powodu napisałam wcześniej, że w mojej szkole wszystko się zaczęło – tak, zaczęło się to, co w życiu jest najważniejsze! W 1989 roku w Dziekanowie rozpoczął pracę przystojny, brodaty W-F men Zbigniew Matfin i spotkanie na sierpniowej Radzie Pedagogicznej oczarowało nas i zaowocowało uczuciem, które trwa do dnia dzisiejszego – miłością. Ślubowaliśmy w lipcu kolejnego roku i proszę zgadnąć: gdzie odbyło się nasze wesele? … w mojej kochanej szkole!!

W małej sali gimnastycznej przyjmowaliśmy gości.

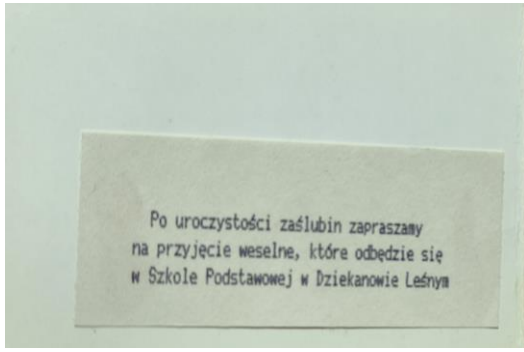

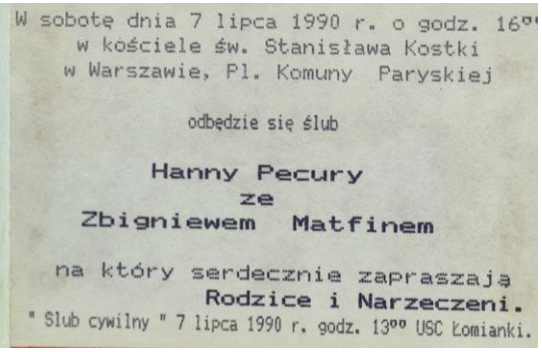

W sali nr 8. tańczyliśmy na własnoręcznie wywoskowanej klepce, a w sali nr 9 panie kucharki gotowały weselne przysmaki a na pierwszym piętrze w salach 17 i 18 na materacach gimnastycznych spali nasi goście. Jak tradycja nakazuje, wesele trwało trzy dni w przyjaznych i gościnnych progach naszej szkoły.

W podróż poślubną powędrowaliśmy do Częstochowy, aby podziękować i powierzyć się naszej najlepszej Bożej Matce a potem pojechaliśmy do pracy, na kolonie z młodzieżą, bo takie były potrzeby i żeby się dobrze przygotować na pierwszego września.

Kolejne lata naszego życia rodzinnego nie były łatwe, bardzo ściśle związane z pracą zawodową, ale miłość aby była prawdziwa musi kosztować, musi boleć, ogołacać nas z samych siebie (Sw. Matka Teresa z Kalkuty).

Tu mój mąż pasuje Pierwszaczków na Uczniów

Mój mąż Zbyszek całkowicie pochłonięty i oddany pracy sportowej, ciągle w biegu, na zawodach, szkoleniach, zgrupowaniach. Był pasjonatem swojej profesji, założycielem szkolnego klubu sportowego „Zryw” który w naszej szkole działa do dziś. Pamiętam, że ciągle brakowało go w domu, który ciągle remontowaliśmy. W latach 90 Zbyszek pełnił funkcję wicedyrektora u boku pani dyrektor Aliny Majewskiej.

A tu chwila otwarcia nowej części szkoły.

Pamiętam, jak w każdą zimę katedra W-Fu wylewała za szkołą lodowisko a Zbyszek jeździł wieczorami dolewać wodę, żeby na rano dzieci miały ślizgawkę. Dysponowaliśmy wtedy kompletem butów z łyżwami i były lekcje na lodowisku. Były też narty biegowe, na których uczniowie biegali z mężem po Puszczy Kampinoskiej. Tradycją były też urządzane przez naszą szkołę gminne biegi przełajowe, rajdy rowerowe.

Ja urodziłam nasze dwie córki i po niespełna czterech latach, gdy już je troszkę odchowałam, z radością wróciłam do pracy.

Uczestniczyłam w ważnych chwilach życia moich wychowanków

WIELKANOC
POLSKA

NATURA
NAS
SKARBEM
ZYM

Patrząc dzisiaj wstecz, mogę śmiało powiedzieć, że miałam szczęście do dyrektorów, począwszy od pani Marty Karpowicz, która przyjmowała mnie do szkoły w Sadowej w 1983 roku, potem dyrektorowała tam pani Jagienka Kędzierska. Obydwie panie wiele mnie nauczyły, wiele od nich zaczerpnęłam. Szkoła w Sadowej, choć wówczas malutka, była centrum życia kulturalnego dla tamtej społeczności. Pamiętam, że wykorzystywałyśmy nowatorskie zuchowe metody pracy zaszczepiając od najmłodszych lat cenne, ponadczasowe wartości: Bóg, Honor, Ojczyzna.

Przez trzy lata docierałyśmy do szkoły w Sadowej przez pola, las na piechotę z koleżanką Danusią Dąbrowską, wspaniałą nauczycielką i przyjaciółką do dnia dzisiejszego. Pamiętam, że pensja nauczycielska wówczas nie pozwalała na kupno roweru, więc napisałam podanie do inspektora oświaty z prośbą o służbowy rower lub przeniesienie do Dziekanowa. Roweru nie dostałam ale w ten sposób razem z moją trzecią już wtedy klasą w 1986 roku przeszliśmy do szkoły w Dziekanowie Leśnym.

Dostałam wtedy wychowawstwo w klasie pierwszej i uczyłam języka polskiego w klasie czwartej. Pamiętam, jak zabrałam tę swoją klasę na biwak do Puszczy Kampinoskiej. Spaliśmy w namiotach – pałatkach, gotowaliśmy z harcerzami na ognisku a w nocy biegaliśmy po lesie za "świetlikiem". Skradaliśmy się w ciemnościach, każdy krzak wydawał się potworem a spadająca szyszka

bombą atomową. Moi wychowankowie tulili się do mnie z piskiem, podczas gdy ja sama miałam niezłego stracha! Do dziś czuję dreszczyk emocji. Niechby ktoś mnie jeszcze kiedyś zabrał na taki biwak…

W Dziekanowie trafiłam pod skrzydła pani Aliny Majewskiej, która była dla swoich pracowników jak matka, szłam do niej ze wszystkimi troskami i byłam zawsze wysłuchana, przytulona i zaopiekowana, zupełnie jak w domu

Pani dyrektor pasuje na uczniów moje Pierwszaczki.

Tu pierwszoklasistka odciskiem palca potwierdza ślubowanie.

Pani Majewska miała zwyczaj zaglądania do pokoju nauczycielskiego. Siadała wtedy wśród nas i pytała o dzieci, zdrowie, o rodzinę. Pamiętam uczucia, które te rozmowy rozbudzały, pamiętam jak to nas – kadrę ze sobą scalało. Jest taka mądrość Mayi Angelou, która wiernie to oddaje:

"Ludzie zapomną co mówiłeś

ludzie zapomną co robiłeś,

ale ludzie nigdy nie zapomną jak się przy tobie czuli".

Tak więc czuliśmy się zaopiekowani przez dyrekcję, ale też przez ówczesne władze gminy, które w trudnej dla nas sytuacji mieszkaniowej zaproponowały nam – trzem rodzinom nauczycielskim z Dziekanowa Leśnego, adaptację pomieszczeń garażowych i strychu w budynku gospodarczym przy byłym domu dziecka w Dąbrowie Leśnej. Zaufaliśmy władzom Gminy Łomianki i własnymi rękami, przy wsparciu naszych rodzin i mieszkających tam już Krysi i Staszka Kucharczyków, którzy przyjęli nas pod swój dach na czas remontu i z nami pracowali – wybudowaliśmy od podstaw mieszkania i klatkę schodową. Niesamowite były te przyjaźnie zawiązane w pracy, które rozszerzały nasze serca i otwierały na potrzeby

innych ludzi. Gdy nasza rodzina się powiększyła, oddaliśmy swoje mieszkanko potrzebującej nauczycielce Krysi Sieńczewskiej przeprowadzając się na sąsiedni strych, który również własnymi siłami i własnymi środkami finansowymi wyremontowaliśmy, stwarzając naszej rodzinie godne warunki do życia.

Zawieszamy termę w łazience ze Staszkiem Kucharczykiem.

Terma już wisi, teraz malujemy.

Już od ponad 30 lat ubiegamy się o wykup tego mieszkania, bo o takiej możliwości zapewniały nas wszystkie następujące po sobie władze. Nie tracimy nadziei że tak się wkrótce stanie. Piszę o tym, żeby podkreślić jak silnie byliśmy i jesteśmy związani z życiem i funkcjonowaniem naszej gminy i jej mieszkańców, naszych wychowanków.

Od 1987 roku przez kilka lat moją dyrektorką była pani Alicja Grąbczewska– niezwykła kobieta.

Pani Alicja na świętowaniu 40-lecia szkoły.

To ona - sama uzdolniona literacko i plastycznie zauważyła coś we mnie i to "coś "odważyło się wyjść na światło dzienne. Dokształciłam się więc na Uniwersytecie Warszawskim i mogłam swoimi plastycznymi darami dzielić się – uwielbiałam to.

Uczyłam plastyki i przez wiele, wiele lat prowadziłam zajęcia koła plastycznego. Urządziliśmy nawet mini pracownię w sali 9a, potem w 8a, a na końcu w sali numer 30. Niestety, z każdego lokum byliśmy po jakimś czasie eksmitowani, bo pomieszczenia były zajmowane na "bardziej potrzebne" uczniom zajęcia. Widziałam, jak moja praca owocowała niezliczoną ilością laureatów konkursów plastycznych, literacko plastycznych, (bo takie również organizowałam pracując w bibliotece) na szczeblach: międzyszkolnych, gminnych, wojewódzkich i ogólnopolskich. Zachęcam do oglądania zdjęć w kronice szkolnej.

Aż serce rosło, patrząc na tłoczących się w pracowni uczniów, którzy gotowi byli zarywać przerwy, żeby tylko skończyć swoje prace.

Z panią Alicją Grąbczewską miałyśmy takie "nasze porozumienie dusz". Zapamiętałam moją szefową jako bardzo ciepłą, skromną, zawsze naturalną i niezwykle wrażliwą osobę. Podziwiałam jej barwne, kobiece, nietuzinkowe stroje i starałam się ją naśladować (właściwie to dzięki pani Alicji przestałam przejmować się modą i noszę kapelusze).

Po kilku latach wróciła do nas na dyrektorski stołek pani Alina Majewska, która przez kilka lat czuwała nad nami jako zastępca Inspektora Oświaty i Wychowania w Łomiankach i aktywnie uczestniczyła w rozbudowie naszej szkoły. Była prawdziwym gospodarzem, ciągle coś remontowała i ulepszała, dbała o piękno szkoły i jej otoczenia, o dobrą atmosferę w pracy. Była wyjątkowym człowiekiem: ciepła, taktowna,wrażliwa i delikatna, kochała swoją pacę i doceniała nasze starania. Pamiętam, że były to bardzo dobre, owocne i spokojne lata pracy.

Odchodząc na zasłużoną emeryturę, pani Majewska właśnie mnie obdarowała zaufaniem, które podzielało też nasze grono pedagogiczne i w roku szkolnym 2003/2004 pełniłam obowiązki dyrektora mojej szkoły. Pomagała mi w tym jako mój zastępca niezawodna jak zwykle Krysia Kucharczyk.

Obydwie Dyrekcje

Pamiętam, że był to bardzo trudny rok, pełen lustracji,audytów i wizytacji ale pamiętam też ogromne zaangażowanie rodziców, i wspaniałego grona pedagogicznego w każde przedsięwzięcie. Powstała wtedy w dziesiątce sala komputerowa, którą pomalowaliśmy własnymi rękami. Dzięki zaradności Ewy Teterycz, której nie oparł się żaden sponsor, firma KOS-REMO zafundowała kraty do okien a firma BARGO instalację elektryczną, stanowiska pod komputery instalowała firma ECO-DOM i pan Zbigniew Zondej.

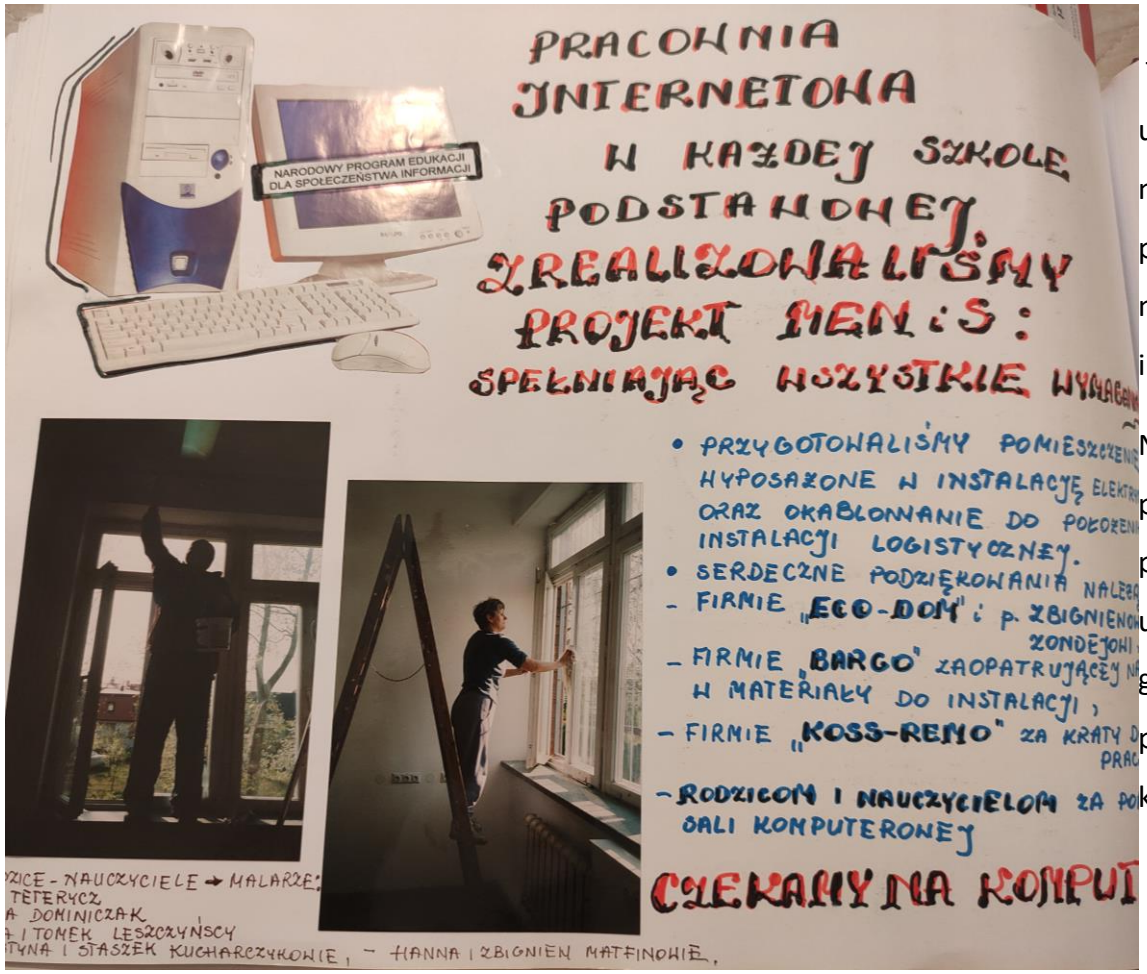

To graniczyło z cudem ale zajęcia informatyczne dla naszych uczniów stały się faktem i od września ruszyły pod opieką niezrównanej Kasi Leszczyńskiej i Agnieszki Kmieciak. Pracownia prosperuje w tym miejscu nadal i nadal te same Panie niestrudzenie wprowadzają naszych uczniów w tajniki informatyki.

Nie była to pierwsza tego typu pracownia w szkole. Za czasów pani dyrektor Alicji Grąbczewskiej powstała w sali numer 16 pracownia na 5 stanowisk, przy których pracowało po troje uczniów. zajęcia prowadził matematyk – informatyk Zbyszek granica – niezwykły człowiek, profesjonalista i dobry kolega pamiętam, że zaproszenia na nasz ślub drukowane były na tych komputerach.

Było to 20 lat temu i szkoła obchodziła wtedy 40-lecie swojego istnienia. W przygotowania do tej uroczystości włączyli się wszyscy: rodzice, pracownicy administracji i obsługi, nauczyciele i uczniowie, pomagali też harcerze.

Pamiętam, że była wielka gala: zaproszone władze Gminy, Kuratorium Oświaty, Kampinoskiego Parku Narodowego, wszyscy uczniowie i ich rodzice, cała wielopokoleniowa społeczność Dziekanowa.

Program festynu z okazji 40-lecia naszej Szkoły był tak ułożony, że każdy znalazł coś dla siebie.Były piosenki, tańce, poezja o szkole. pokazy gimnastyczne, loteria, gril, kawa i pyszne ciasta.

Byłam dumna, że tworzymy taki zgrany zespół, cała społeczność Dziekanowa Leśnego i okolic wyrażała swój zachwyt i uznanie.

Czułam wielką satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku lecz mimo namowy ze strony władz gminy – Zrezygnowałam z tej funkcji z ulgą. Przewartościowałam wtedy wszystko w swoim życiu i wybrałam dobro mojej rodziny – nie mogłabym dłużej znieść widoku moich śpiących na ławce pod dyrektorskim gabinetem córek. Nigdy swojej decyzji nie żałowałam: w moim przypadku sprawdziła się maksyma: "nauczycielem się jest, a dyrektorem się bywa".

Na gali 40-lecia szkoły (20 lat temu) obchodził swoją czterdziestkę pracy w Dziekanowie Leśnym pracownik obsługi pan Stanisław Gołębiewski, który od początku istnienia szkoły wiernie jej służył swoją pracą. Dzisiaj na Gali 60-lecia- ja Hania Matfinowa mogę świętować swoje czterdziestolecie pracy na terenie Gminy Łomianki (ogółem 43 lata pracy w oświacie).

Jak ja się z tym czuję? Wspaniale!

Po rocznym epizodzie dyrektorowania trafiłam pod kolejne przyjazne skrzydła pani Anny Kajszczak, która wcześniej prowadziła gimnazjum, a teraz zajęła się całą naszą szkołą, z pomocą Oli Michalak jako zastępcy. Mam dla obydwu pani wielki szacunek za tyle lat niełatwej i pełnej poświęceń pracy. Dla mnie były to spokojne lata dzielenia się doświadczeniem, owocowania.

Kolejnym zastępcą dyrektora w naszej szkole została Ewunia Teterycz - wulkan energii, dobrych pomysłów i ogromne, wrażliwe serce. to ona kontynuowała rozpoczęty przez mojego męża Zbigniewa Matfina na początku lat 90 zwyczaj zabierania uczniów na tzw. „błękitne szkoły pod żaglami". Nasi uczniowie wyjeżdżali wówczas wspólnie ze swoimi rówieśnikami z Orzechowa.

Ewa Józefowska-Teterycz zaraziła miłością do żeglowania wielu ludzi. Organizowała rejsy rodzinne, w których my Matfinowie mieliśmy szczęście uczestniczyć. Nasze córki żeglują między innymi dzięki niej, była dla nich wzorem, zapatrzone w nią jak w obrazek, odwdzięczały się wieczornym szantowaniem.

To Ewunia z Anią Trochimiuk i Dorotką Pawlak, Marzenką Siwek, Anią Banach i wychowawcami poszczególnych klas przez te wszystkie lata zabierały naszych uczniów " na wodę, pod żagle "i uczyły szkoły życia, obdarowywały je swoimi pasjami. Pływał z nimi mój mąż Zbyszek, bywałam też ja i z całą świadomością chylę czoła przed Kadrą, która podejmuje tak odpowiedzialne zadania i umożliwia dzieciom – wychowankom poznawanie cudów tego świata aby w przyszłości umieli dokonywać trafnych wyborów.

Jest to niezwykłe i nasza szkoła jest w tej dziedzinie ewenementem.

Miałam również przyjemność opiekowania się naszą młodzieżą (ja jeden raz, mój mąż wielokrotnie) w czasie rejsu na Zawiszy Czarnym. Patrzyłam, jak wcześniejsi uczestnicy błękitnych szkół posługują się zdobytą wcześniej wiedzą, jak dorastają i dojrzewają w decyzjach. Wrażenia, przeżycia i doświadczenia będą mi towarzyszyły już zawsze.

Nie ma już z nami Ewuni Teterycz, ale dziękuję Bogu za to, że mogłam ja i cała moja rodzina cieszyć się jej obecnością w naszym życiu, ogrzewać się w jej cieple. Żyje w naszych sercach nadal jest dla nas jak Rajski Ptak w swoim kolorycie, dobroci i miłości do ludzi. Kochamy cię Ewuniu i pamiętamy.

Ostatnie lata pracy spędziłam pod skrzydłami pana Dawida Dziadusia i pomocnej mu Krysi Kucharczyk, która służy swoim doświadczeniem kolejnemu już dyrektorowi. Mamy za sobą wiele wspólnie przebytych dróg, wiele wydeptanych ścieżek... Moi dyrektorzy i ich zastępcy, wszyscy oni przez 40 lat pracy otaczali mnie ciepłem i zrozumieniem, mogłam przy nich swobodnie się rozwijać, tworzyć własny warsztat pracy, czując ich aprobatę i zaufanie bez względu na to jakie stanowisko zajmowałam a było tego, było:

– nauczyciel nauczania początkowego

– sekretarka szkolna – w pierwszych latach pracy

– nauczyciel języka polskiego i matematyki w klasie czwartej

– plastyka – moja ukochana i technika z kartą rowerową

Po roku 2000 struny głosowe zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. wtedy wybrałam się na studia podyplomowe bibliotekoznastwa i reedukacji. zdobyłam powyższe kwalifikacje, oprócz tego kurs gimnastyki korekcyjnej na AWF-ie pozwoliły mi pracować :

- w bibliotece szkolnej

– prowadzić gimnastykę korekcyjną

– reedukacja matematyczną

– ze swoimi naukami przez wiele lat chodziłam też uczyć "po domach" do uczniów, którzy z przyczyn zdrowotnych nie mogli realizować programu nauczania w szkole. Bardzo je ceniłam bo niewątpliwie ćwiczyłam wtedy empatię i pokorę.

Codziennie, dzień po dniu...

Nie mieliśmy z mężem wolnego, bo ciągle były potrzeby, ale główną siłą napędową było powołanie, czyli miłość do swojego zawodu.

Dopiero dzisiaj, na spokojnie, mogę to w pełni zrozumieć i doprecyzować.

Jak to możliwe, że mieliśmy zajęte wszystkie ferie zimowe i wakacje? że realizowaliśmy wszystkie zadania dodatkowe, propozycje i wymogi organu prowadzącego – czyli władz oświatowych Urzędu Gminy?

Że byliśmy zawsze gotowi prowadzić gminne festyny, akcje:

– zima w mieście

– lato w mieście

– kolonie letnie nad morzem

– wędrowanie z młodzieżą po górach

– wycieczki krajoznawcze

– błękitne szkoły

– zielone szkoły już od zerówki

– obozy narciarskie

Początkowo na narty z naszymi uczniami jeździł mój mąż Zbigniew z Piotrem Tytkowskim w Sudety. A my we dwie z Krysią Kucharczyk i 20 uczniów naszej gminy, pociągiem, z bagażami i sprzętem narciarskim w Tatry.

Pamiętam, jak raz za filarem na dworcu w Warszawie zostały dwie walizki: moja i dziewczynki z naszej szkoły. Ile zabiegów, telefonów, pomocy dobrych ludzi i... następnego dnia nasze walizki przyjechały do Zakopanego z harcerzami.

Odebrałam je raniutko po 5:00 jadąc busikiem z Doliny Kościeliskiej przy trzaskającym mrozie. Tego widoku Tatr o świcie, oszronionych drzew w Kościelisku, śniegu po pas i powrotu do góralskiej chaty "Gazduś" ciągnąc dwie wypchane walizki w zaspach - nie zapomnę.

Mieszkałyśmy z Krysią w przechodnim pomieszczeniu – w kuchni - zwanym "Przelotówka", gdzie wszyscy się gromadzili na ciepłą herbatę z cytryną i miodem, na mikstury z czosnkiem gdy była potrzeba. W naszej "Przelotówce" lepiliśmy anioły z solnej masy i wypiekaliśmy w piekarniku. Był też tam kilkuosobowy pokój z kominkiem gdzie przy ogniu robiliśmy plany na następny dzień i uczyliśmy się śpiewać góralskie piosenki.

Za sienią był pokój zwany "Trzecim Światem" i trzy łazienki z prysznicami dla wszystkich. to nie były luksusy, ale w pamięci mam wciąż radosne, pełne wdzięczności oczy dzieci, które uczyły się wpinać narty i pod naszą opieką stawiały pierwsze kroki na stoku. Wywrotki, upadki i my dwie pośród nich, ja na nartach to tu, to tam, gdzie była potrzeba: ze słowem pocieszenia, instruktażu, przytuleniem, Krysia na dole łapała i liczyła dzieciaczki, dbała o karnety.

Pamiętam też swoją przyjemność dzielenia się z tymi oddanymi nam pod opiekę dziećmi tym, co sama kocham: wrażliwością na piękno natury, dbaniem o środowisko w którym żyjemy, a nade wszystko potrzebą pielęgnowania relacji międzyludzkich. Po takim turnusie wracaliśmy zawsze przepełnieni dumą z osiągnięć naszych podopiecznych.

Wiele, wiele wiele lat, współpracowaliśmy z biurem turystycznym "Guliwer". Do dzisiaj szefowie pani Magda i pan Piotr – ludzie o wielkich wrażliwych sercach, szczodrzy i rozumiejący trudne sytuacje pomagają dzieciom, umożliwiając potrzebującym wyjazdy na kolonie, zielone szkoły, wycieczki. Są to ludzie, których zawsze i każdemu mogę polecić do współpracy.

Pisząc o wyjazdach nie sposób pominąć naszą Kadrę. Pierwszy, podstawowy zestaw to my, Matfinowie, Krystyna Kucharczyk i Kasia Dominiczak.

Potem dołączyły do nas Agnieszka Bielak, Ania Madej, Ania Kąkol.

"Z taką załogą to można zaszaleć "! z takimi ludźmi można zrobić wszystko, niepotrzebne są słowa, wystarczy spojrzenie. Zawsze było jak w rodzinie, razem, wspólnie i choć niełatwo, to jeden za wszystkich i wszyscy za jednego.

Zawsze już będę miała w pamięci powroty z plaży w Junoszynie ze śpiewem "Hej me Bałtyckie Morze", Krynica Morska i rejsy po zatoce, nasze tańce: "na kolonii fajnie jest", belgijkę, ogniska z kiełbaskami w Stegnie w "Fali".

Jestem bogatsza o tyle wspomnień... zabawy w zaspach, rzeźby w śniegu, góralski folklor, który przekazywała nam zaprzyjaźniona rodzina Dziedziców z Bukowiny Tatrzańskiej w "Stasindzie"

Były kuligi z ogniskiem, stoki narciarskie "Niedźwiadek" i "Przy Watrze" na których śmigaliśmy na nartach. Z jednego z takich wyjazdów (żeby zapobiec karambolowi na wyciągu) wróciłam z ręką w gipsie ale pamiętam tylko autografy uczestników na tym gipsie, żadnego bólu.

Są w naszej szkole do Dziś Panie, które potrafiły wyszukiwać na wyjazdy dla swoich klas miejsca-perełki. Pamiętam Zawadkę Rymanowską, gdzie jako opieka wyjeżdżałam z Marzenką Siwek, Serpelice- z Kasią Leszczyńską. To były miejsca, gdzie dzieci uczyły się przetrwać kilka dni, podczas których pani Kasia była od zjazdów na linie przez rzekę a pani Marzenka od sawuar-wiwru. Pamiętam nocne wyprawy z Andrzejem Gędziorowskim,z klasami czwartymi, Anią Bliżewską i Karoliną Gosk na „cmentarz łemkowski, gdzie wykopaliśmy... rękę! Żelazny odlew dłoni, wcześniej zakopany tam przez naszego fizyka- to były emocje!! Andrzej świetnie opowiadał różne historie i dzieci uwielbiały go słuchać, podobnie jak historycznych opowieści pana od histotii- Jana Kuźniecowa, przy którym trudno było uśpić dzieci. Pamiętam jak z Ewą Teterycz zabrałyśmy nasze szóste klasy w Tatry i do Skalnego Miasta w Czechach, byłyśmy też razem nad Morzem Bałtyckim i rankiem zbieraliśmy bursztyny.

Niezliczona ilość wspomnień, przeżyć w miastach wielu….szkoły przetrwania w Pięknej Górze z Jolą Kryszkiewicz Bawoł, Kraków z Agnieszką Bielak i Małgosią Dołgało, Góry Świętokrzyskie z zerówkami, Krysią kucharczyk i Babą Jagą na miotle….nie sposób wypisać wszystkich….chociaż są one we mnie, w moim sercu.

Jak już wcześniej wspominałam, wiele lat przepracowałam w naszej szkolnej bibliotece. razem z Olą Michalak przenosiłyśmy księgozbiór z sali nr. 20 na dół do sali nr 10. Ola zawsze była nieoficjalnym kierownikiem i dzięki jej projektowi który razem zrealizowałyśmy, powstała prawdziwa biblioteka z wypożyczalnią i czytelnią ze stanowiskami komputerowymi.

Było to ulubione miejsce uczniów, którzy chcieli spędzać w bibliotece każdą przerwę każdą wolną chwilę. dołączyła do nas Beata Zajko która do dnia dzisiejszego, doskonale, samodzielnie prowadzi bibliotekę.

Konkursy, laureaci, pasowania na czytelnika, lekcje biblioteczne... Jest do czego wracać myślami.

Niezapomniane chwile przeżyliśmy z moim mężem w naszej szkole a wszystko to dzięki pokładanym w nas nadziejom, dzięki zaufaniu otaczających nas ludzi.

Przez cały ten czas nasze życie rodzinne, ściśle było związane z pracą zawodową. Nasze córki Agnieszka i Ola – uzdolnione sportowo (Agnieszka grała w reprezentacji Polski w drużynie unihokeja), w chwili wyboru gimnazjum, kategorycznie oświadczyły że nie chcą zdobywać medali dla innej niż nasza szkoły, więc pozostały w naszym gimnazjum i posypały się medale: w tenisie, w pływaniu, w grach zespołowych, w biegach.

W naszej szkole nasze córki pod okiem świetnych pedagogów, wychowawców kształtowały swoje charaktery, rozwijały zainteresowania, rozkwitały. Dzisiaj z dumą patrzymy na ich życie i jako rodzice widzimy szczególny wpływ wychowawczyń, polonistek naszych córek: pani Kasi Leszczyńskiej, Agnieszki Kmieciak, Małgosi Dołgało, Joli Matyjasiak, Joli Kryszkiewicz-Bawoł, Marzenki Siwek, Bożenki Rutkowskiej które przez te wszystkie lata swoją mrówczą pracą szlifowały diamenty z osobistego skarbca Matfinów.

Jesienią ubiegłego roku byliśmy z mężem zaproszeni na jubileuszowe spotkanie sympatyków Koła Turystycznego, które w naszej szkole pod opieką pani Ani Trochimiuk i Dorotki Pawlak działa wiele lat. Nad zalew Zegrzyński przyjechali też absolwenci i okazało się że nasi byli uczniowie teraz już dorośli ludzie, ojcowie rodzin z łezką w oku snuli wspomnienia. Długo siedzieliśmy przy ognisku i trudno było się rozstać. Tam też mój mąż dowiedział się, że z inicjatywy absolwentów stadion sportowy w Dziekanowie Leśnym nosi imię Zbigniewa Matfina! Widziałam wzruszenie w oczach mojego męża i dziękuję wam kochani uczniowie za takie wyróżnienie!

Nasi uczniowie, wychowankowie często odwiedzają szkołę i znając ich dalsze losy, wiedząc jaka jest ich droga – spokojnie możemy im i też sobie nawzajem gratulować.

Możemy też pogratulować w szkole pracowników administracyjnych i obsługowych.

Ewa Cieślińska – sekretarz szkoły od zawsze. Wszystkie przepisy, dzienniki ustaw, regulaminy w małym paluszku prawa ręka każdego dyrektora. Tereska Królak - piękna wizytówka dyrektorskiego gabinetu, nikogo nie zostawi bez pomocy, znajdzie u niej pociechę i uczeń i dorosły. W sekretariacie jest też Basia Bogdańska, która zawsze służy radą i pomocą.

Od zawsze są też w naszej szkole państwo Małgosia i Zbyszek Kordkowie, którzy cichutko, bez zbędnych słów szczerym sercem wyczują, zrozumieją i pomogą w każdej potrzebie. Jest też Beatka Czerwińska, dusza troszkę głośniejsza, szybka jak błyskawica, nie prześcigniesz jej w pomaganiu, a dary Boże które ma w swoich rękach hojnie w szkole rozdaje i z każdego kątka wyglądają skrzaty leśne, bajkowe postacie i zwierzątka które dzieci bardzo lubią.

Nie sposób wymienić wszystkich, część jest już na zasłużonej emeryturze tak jak Ela i Stanisław Wiśniewscy, nasza nieoceniona pielęgniarka Marysia Skarbek, wspaniały pedagog Danusia Dąbrowska, matematyczka Bogusia Jekiełek pedagog szkolna Tereska Górniak i do niedawna szefowa reedukatorów Magda Kwaśniewska. Ci wszyscy i cały zastęp obecnie pracujących: logopedka Ewa Janik z którą wiele lat dzieliłyśmy gabinet, kiedy pracowałam jako reedukator matematyki, z którą zawsze i w każdej sprawie potrafiłyśmy dojść do porozumienia.

Wszyscy ci ludzie są jak filary,i choć nie zawsze widoczne trzymają szkołę na właściwym poziomie. Są zawsze tam gdzie ich potrzeba i niezawodnie można na nich polegać.

Zbliżam się do końca moich wspomnień: ostatnie lata swojej kariery zawodowej spędziłam w świetlicy. Zostałam tam tak jakby trochę zesłana za swoją naiwność chociaż ja nazywam to wiarą w ludzi, która akurat w tym przypadku zawiodła. I chociaż mogłam powrócić na swoje stanowisko reedukatora, to postanowiłam zostać ten ostatni rok w świetlicy. Nie zawiodło moje szczęście do dyrektorów: do kierowniczki świetlicy Karoliny Tkaczyk, która jest niezwykle wrażliwą, delikatną, odpowiedzialną osobą i... co jest dla mnie ważne: szanuje ludzi, bo „Nikt nigdy nie stał się wielki, przez pokazywanie komuś, że jest mały”.

Pomyślałam sobie, że to co otrzymałam od tak wielu ludzi przez te 40 lat, będę mogła chociaż w części przekazać jej i młodej jeszcze kadrze świetlicy, że w ten sposób pomogę, posłużę.

Poranną zmianę rozpoczynaliśmy od segregowania klocków.

W ostatnich latach świetlica zyskała wyposażenie kuchenne, więc są nieograniczone możliwości:

Były wiosenne kanapki.

Były desery.

KULINATOR 3000W

Doceniliśmy rolę posadzonych wcześniej na zajęciach świetlicowych ziół w naszej diecie.

To był trudny rok, ale wysiłku i pracy mi nie szkoda. Kadra świetlicy nie ma lekko i cieszę się że daliśmy radę znowu: razem, wspólnie jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Wykonując te przeróżne profesje czułam się zawsze przytulana a to z kolei pozwalało mi przytulać wszystkie powierzone mi pod opiekę maleństwa, przez ostatnie lata były to już dzieci moich wychowanków.

A więc przytulałam... i aby móc przytulać pochylałam się nad nimi, bo inaczej się nie da, trzeba być na ich poziomie, schylić się, uniżyć często aby zrozumieć, ukoić, przeprowadzić, rozwiązać, podszepnąć, zachęcić, pomóc uwierzyć w siebie. One – nasi podopieczni na to czekają, szukają tego w nas.

Przypomina mi się usłyszana od mojej mamy Rozalii opowieść o kłosach zbóż. W łanie zboża można zaobserwować dwa rodzaje głosów: proste i pochylone. Otóż te piękne, dumnie wyprostowane, kołyszące się na wietrze, patrzące w niebo kłosy są puste a te schylone do ziemi są wypełnione ziarnem, jest w nich życie.

W naszym zawodzie krzątamy się niziutko, przy ziemi rozdajemy swoje ziarna, wciąż rozdajemy, w nadziei że będzie z nich chleb. Przyszedł czas, że zrozumiałam przypowieść mojej mamy, przyłożyłam ją do swojego życia i odetchnęłam z ulgą. Bardzo bliskie są mi te przyziemne rejony świata a że nadal czuje się wypełniona ziarnem to chcę to ziarno szczodrze rozdawać, tyle że w innej formie w inny sposób. Dowiadujcie się, zapraszam na chleb.

Przed wieloma laty zainicjowaliśmy ze Zbyszkiem spotkania „ za chałupą u Matfinów", które stały się już tradycją. W ubiegłym roku na takim spotkaniu pożegnałam się z moją Szkołą.

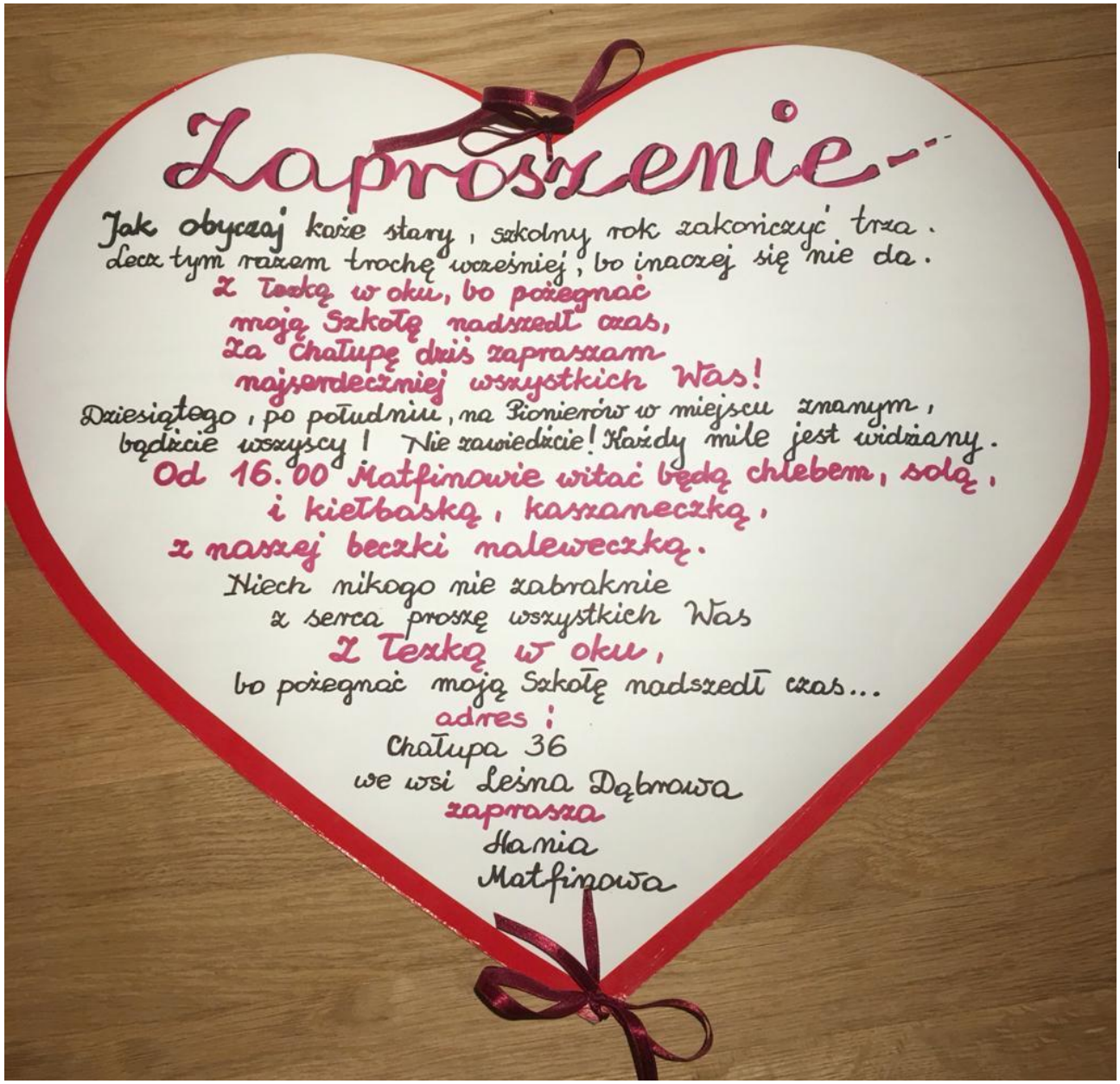

Było cudnie móc gościć tylu przyjaciół.

….do utraty sił, do utraty tchu….,

…..tyle serdeczności i ciepła otrzymałam raz jeszcze.

Dostałam na pożegnanie piękny prezent: ikonę Matki Bożej z Dzieciątkiem w objęciach. Jest to dla mnie symbol przytulania i bycia przytulaną, o których tyle piszę.

Na emeryturę odchodziłam….12 lat.

Uświadomiłam to sobie, gdy żegnały się ze mną Władze naszej Gminy.

Usłyszałam zapewnienia o wdzięczności i pamięci – ufam całym sercem w ludzką dobroć i sprawiedliwość.

Póki co, piszę Ikony i obdarowuję nimi moich Bliskich:

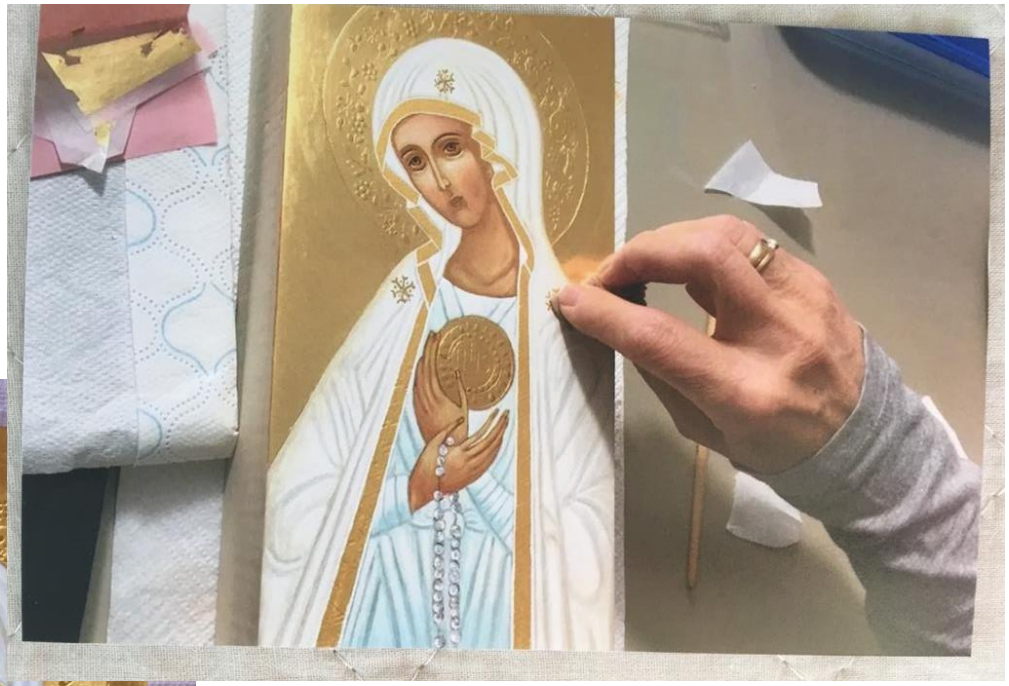

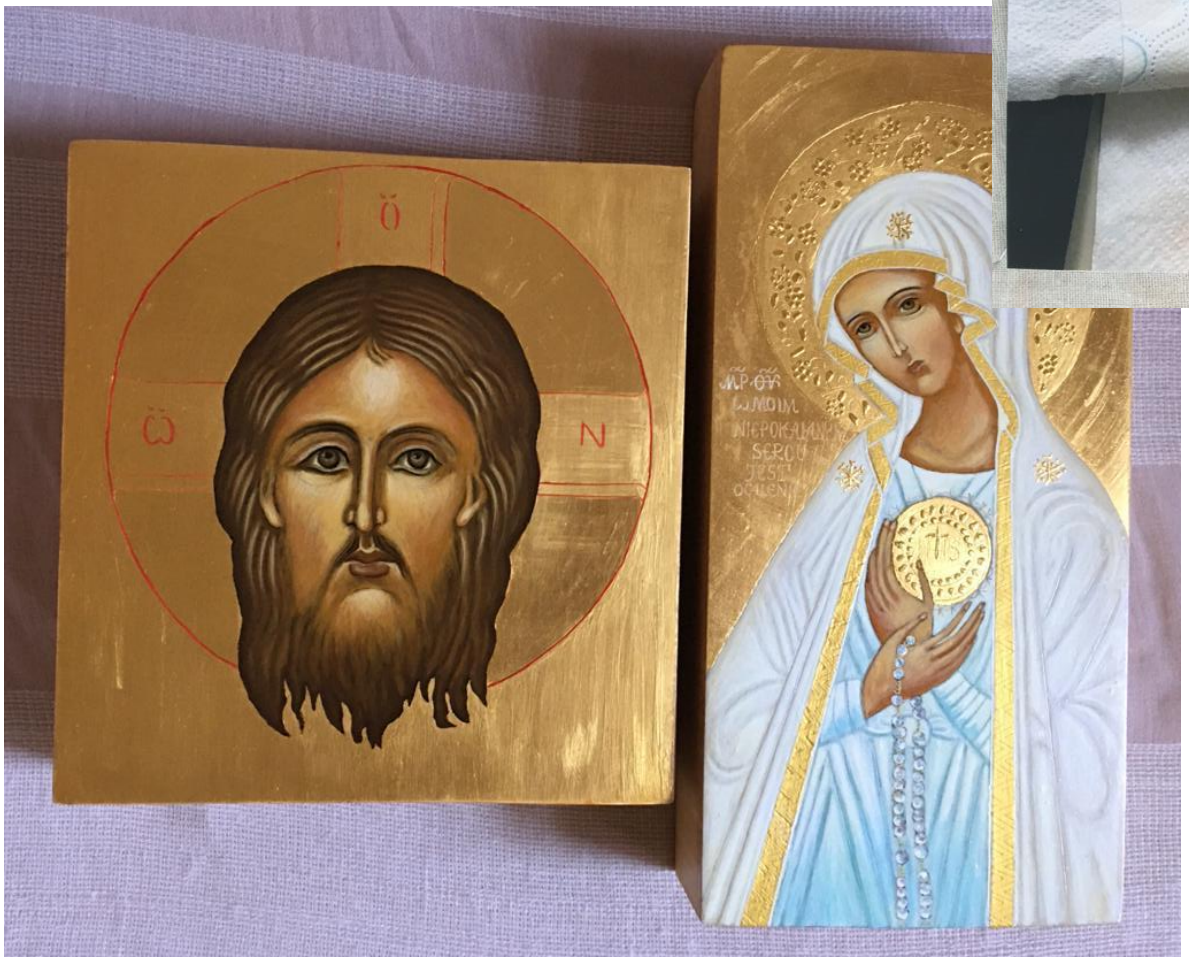

Jedną z Ikon: „Zwiastowanie”, zatrzymam dla siebie bo nie mam wątpliwości, że Dobry Bóg bardzo wiele mi zwiastował.

Lepię też garnki:

I po prostu cieszę się życiem!

Zakończyłam swoją zawodową karierę spełniona i uspokojona, bo Święty Augustyn powiedział: "Ten, który cię stworzył, wie również co ma z tobą zrobić".

Z otwartością czekam więc na to, co przyniosą mi dni których jeszcze nie znam, bo one są teraz najważniejsze i marzę o tym, żeby je przeżyć najpełniej jak tylko można.

Wspaniale to wyraziła w swoim wierszu pani dyrektor Alicja Grąbczewska, której już nie ma wśród nas ale jej marzenia o życiu są mi bardzo bliskie i ufam, że tak jak w jej życiu, spełnią się one też w moim:

„Marzenie...

Tak się obłożyć
złotem i srebrem jęczmiennego łanu
jak ikona bizantyjska

tak się rozplenić
kaczeńcem, nasturcją, makiem
byle chwastem bodaj

tak się rozwinąć dymem
wiatrem chlusnąć znienacka

załopotać deszczem

tak się rozedrgać

jak najczulsze skrzypce

trochę bardziej niż być

trochę bardziej

niż przez chwilę."

(Wiersz ze wspomnień o Alicji Kretkiewicz-Grąbczewskiej "Trochę bardziej niż być", które to wspomnienia wspaniałej swojej mamie wydała córka Milena Grąbczewska- uczennica naszej szkoły).

Od Matfinów jeszcze jedna myśl, tak zupełnie na koniec naszych wspomnień. Razem z jubileuszem naszej Kochanej Szkoły domykamy i my ze Zbyszkiem gościnne, Dziekanowskie Drzwi, on po 31, ja po 40 latach pracy w tej szkole.

Niezmiennie otwarte jednak pozostawiamy dla Was wszystkich nasze serca, nasz dom, nasze „u Matfinów za chałupą". Zaglądajcie do nas często, raz jeszcze zapraszamy na chleb! Będziemy go dla Was łamać i dzielić się nim tak, jak do tej pory.

Hania i Zbyszek Matfinowie

---Aleksandra Michalak

Pracowała w Szkole Podstawowej im. Marii Konopnickiej

w Dziekanowie Leśnym w latach 1990 – 2018.

Była nauczycielką języka angielskiego, bibliotekarką

oraz wicedyrektorem Zespołu Szkół w Dziekanowie Leśnym.

Moja przygoda ze szkołą w Dziekanowie Leśnym zaczęła się właściwie przypadkiem.

Był rok 1990. Tamta rzeczywistość była zupełnie inna, niż dzisiejsza. Polska przechodziła wówczas burzliwy okres przemian ustrojowych. Po długoletniej biedzie i szarzyźnie PRL-u, zaczynaliśmy powoli uczyć się demokracji, choć jeszcze nie do końca wiedzieliśmy czym ona jest. Otwieraliśmy się na Europę i świat, staraliśmy się nadrobić zacofanie cywilizacyjne. Przechodziliśmy prawdziwą rewolucję - mentalną, technologiczną i społeczną.

W moim życiu osobistym przełom lat 90-tych był również czasem ogromnych zmian. Ukończyłam studia, wyszłam za mąż, zaczęłam pracować w instytucie naukowym jako tłumaczka. Podjęliśmy z mężem decyzję o budowie własnego domu. Przeprowadzka z Warszawy do małej miejscowości, jaką był wówczas Dziekanów Leśny, stała się dla mnie prawdziwym wyzwaniem. Największym problem okazał dojazd do pracy, który teraz zabierał mi pół dnia. Musiałam to zmienić. W Dziekanowie Leśnym były dwie instytucje, które mogły mnie zatrudnić: Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej oraz Instytut Ekologii PAN. Problemem było jednak to, że w szkołach nadal obowiązywał język rosyjski, a tylko nieliczne placówki naukowe miały etat tłumacza.

Pamiętam, że był wtedy piątek, 14 września 1990 roku. Szłam z Graniczki do domu. Po drodze mijałam budynek szkoły. Do dziś nie wiem dlaczego

właśnie wtedy postanowiłam tam wejść. Na dole był gabinet dyrektora. Zapukałam i poprosiłam o chwilę rozmowy. Pani dyrektor Alina Majewska przyjęła mnie od razu. Krótko się przedstawiłam, powiedziałam jakie mam kwalifikacje i zapytałam czy mogłabym uczyć w tej szkole języka angielskiego. Myślałam oczywiście o pracy od nowego roku szkolnego, bo do głowy mi nie przyszło, że to mogło być już. Musiało mi dobrze z oczu patrzeć, bo pani Majewska przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Zgodziła się natychmiast. Zapytałam, kiedy właściwie miałabym zacząć pracę, w odpowiedzi usłyszałam, że mam przyjść w poniedziałek, parę minut przed ósmą. W ten oto sposób, w rzeczony poniedziałek, 17 września 1990 roku stałam się nauczycielką języka angielskiego w Szkole Podstawowej im. Marii Konopnickiej w Dziekanowie Leśnym. Pani dyrektor przedstawiła mnie moim nowym koleżankom i kolegom, dostałam do ręki dziennik lekcyjny i poszłam na swoje pierwsze zajęcia.

Początki nie były łatwe. Kontrast między warunkami pracy w instytucie i szkole był szokujący. Mój poprzedni Instytut Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy był przestronnym budynkiem z bardzo nowoczesnym wyposażeniem. Do dyspozycji miałam pokój, który dzieliłam z koleżanką, własne biurko i komputer z drukarką, z którego mogłam korzystać. Teraz wylądowałam w zupełnie innym świecie. Szkoła była bardzo mała i panowała w niej straszliwa ciasnota. W roku 1990 w budynku znajdowało się tylko kilka sal lekcyjnych oraz mała sala gimnastyczna. Nie było nawet boiska, a pokój nauczycielski urządzono na zapleczu jednej z pracowni. Było tam tak ciasno, że z ledwością mieścił się wieszak na ubrania, mały stolik i kilka krzeseł. Czasami, niemal dosłownie, siedzieliśmy jedno na drugim.

Sekretariat, w którym królowała pani Ewa Cieślińska, był po prostu kawałkiem korytarza odgrodzonym przepierzeniem. Było tam tak ciasno, że z ledwością mieściło się biurko pani Ewy, mała szafka na dokumenty i krzesło dla interesanta. Na raz mogły wejść co najwyżej dwie osoby (i to szczupłe!). Trzecia musiała już czekać w kolejce na korytarzu. O komputerze w szkole nikt wtedy nie słyszał, nawet kserokopiarka była tylko marzeniem. Pani Ewa dysponowała jedynie wysłużoną maszyną do pisania i to było wszystko.

Biblioteka również nie zachwycała. Było to maleńkie pomieszczenie, a w zasadzie wydzielony kawałek korytarza, w którym znajdowały się podstawowe lektury i pojedyncze egzemplarze słowników czy encyklopedii. Kiedy weszłam tam po raz pierwszy, byłam bardzo zdumiona, ponieważ w domu miałam więcej książek, niż było tutaj.

Nauczyciele także nie mieli żadnych, nowoczesnych pomocy naukowych. Do dyspozycji była właściwie jedynie tablica i kreda (tylko biała, bo kolorowa kreda była wówczas rarytasem), jakieś wysłużone plansze z wzorami czy schematami i jeden rzutnik do przeźroczy. Pamiętam, że nasza pierwsza kserokopiarka została zakupiona dzięki hojności okolicznych przedsiębiorców. Było to tak, że pewnego dnia nauczyciele podzielili się na dwuosobowe zespoły i obeszli okoliczne instytucje z prośbą o datek na zakup tak potrzebnego nam urządzenia. Nikt nie odmówił. W jeden dzień zebraliśmy wystarczającą kwotę. Zakupione wtedy urządzenie służyło nam przez kilka ładnych lat.

Nauka odbywała się na dwie zmiany, ponieważ szkoła liczyła 16 oddziałów. Zajęcia często kończyły się późnym popołudniem. Jedyną korzyścią tej ciasnoty było to, że klasy musiały być nieliczne (maksymalnie do 24 uczniów), bo inaczej dzieciaki nie mieściły się w salach.

Skoro było tak źle, ktoś pewnie chciałby zapytać, dlaczego tam zostałam. Otóż zadecydowali ludzie i wspaniała atmosfera, z jaką się spotkałam. Od samego początku, od pierwszego dnia czułam się tam jak w rodzinie. Była to niewątpliwie zasługa pani Aliny Majewskiej, ale nie tylko. Pamiętam, jak pierwszego dnia pracy, na przerwie, podeszła do mnie polonistka, pani Anna Gradomska i zaczęła ze mną rozmawiać tak, jakbyśmy znały się już co najmniej parę lat. Podobną życzliwość i zainteresowanie otrzymałam od pozostałych koleżanek i kolegów, ale Ania była tą pierwszą.

Drugą rzeczą, która w tamtej szkole rzucała się w oczy, była niesamowita czystość. Mimo bardzo trudnych warunków lokalowych, wysłużonych sprzętów i pomieszczeń, wszystko po prostu lśniło. Na pierwszy rzut oka było widać, że ktoś wkłada mnóstwo pracy i serca w to, żeby szkoła była zadbana. Tym „kimś" była pani Ela Wiśniewska, najwspanialsza woźna, jaką kiedykolwiek spotkałam. Oczywiście, byli też inni pracownicy obsługi, ale pani Ela była po prostu wyjątkowa. Nic dziwnego, że cieszyła się powszechnym uznaniem.

To była kolejna cecha charakterystyczna naszej szkoły. Wzajemny szacunek i uznanie dla pracowników niepedagogicznych. Nie było to wówczas takie powszechne i oczywiste. W wielu szkołach zauważało się podział na dyrekcję, nauczycieli i obsługę. Czuło się dystans między tymi grupami. U nas, w Dziekanowie Leśnym, było zupełnie inaczej. Stanowiliśmy dobrze zgrany zespół ludzi oddanych swojej pracy. Oczywiście, każdy znał swoje miejsce, ale wiedzieliśmy, że zawsze możemy liczyć na pomoc drugiej osoby, niezależnie kim jest. Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek impreza szkolna odbyła się z pominięciem którejś z tych grup. Nasze piękne Wigilie, uroczystości typu Dzień Nauczyciela (późniejszy Dzień Edukacji Narodowej) czy wspólne wycieczki autokarowe na grzyby nie byłyby tak udane, gdyby nie to, że uczestniczyli w nich *wszyscy* pracownicy. To bardzo integrowało nasz zespół i to decydowało o wspaniałej, naprawdę rodzinnej atmosferze, jaka panowała wtedy w szkole.

Kiedyś zdarzyła się awaria. Prawdopodobnie pękła jakaś rura i nagle jedną z sal lekcyjnych zaczęła zalewać woda. Wszyscy rzucili się na ratunek. Nie miało znaczenia kto jest kim. Za przykładem pani dyrektor, wszyscy pościągali buty i stojąc po kostki w wodzie ratowali dobytek. W ruch poszły szmaty, wiaderka, ścierki do tablicy, a nawet podstawki spod kwiatków. Ramię w ramię usuwano wodę, nie miało znaczenia czy ktoś jest dyrektorem,

nauczycielem, pielęgniarką, woźnym czy dozorcą. Po prostu ratowano szkołę. Takie zdarzenia bardzo nas łączyły, wiedzieliśmy, że możemy na siebie liczyć w każdej sytuacji.

Ta nasza jedność bardzo się przydała w czasie strajku. Na początku lat 90-tych, kiedy przemiany ustrojowe były chyba najbardziej gwałtowne, przez Polskę przetoczyła się fala protestów i demonstracji. Placówki oświatowe, od lat zaniedbane i niedoinwestowane, przyłączyły się do tego buntu, domagając się zwiększenia nakładów na edukację. Wiele szkół, w tym nasza, przystąpiło do strajku. Było to dla nas coś zupełnie nowego, nie mieliśmy żadnego doświadczenia, nawet nie bardzo wiedzieliśmy czego tak naprawdę możemy się domagać. Zawiązaliśmy komitet strajkowy i wtedy okazało się, jak bardzo jesteśmy solidarni. Nikt się nie wyłamał. Należało wybrać jedną osobę, która będzie reprezentowała naszą szkolę w trakcie rozmów z władzami. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu, to właśnie ja zostałam tym delegatem, głosowali na mnie niemal wszyscy. Zaufanie, jakim zostałam obdarzona, bardzo mnie zdopingowało. Wspólnie ustaliliśmy postulaty (było ich kilkanaście) i kiedy po kilku dniach strajku, władze gminy zgodziły się na spotkanie, pojechałam na rozmowy. Brali w nich udział przedstawiciele wszystkich placówek oświatowych z terenu gminy. Negocjacje były trudne i dość burzliwe, ale dzięki temu, że nasze postulaty były rozsądne, a do tego poparte odpowiednimi argumentami, wywalczyliśmy niemal wszystko. Byłam dumna, że nie zawiodłam pokładanego we mnie zaufania. Wkrótce potem rozpoczęła się u nas budowa dużej sali gimnastycznej, później dobudowano nowe skrzydło, znacznie większe niż dotychczasowy budynek szkoły. Otrzymaliśmy środki na wyposażenie, a nawet spory fundusz na nagrody dla nauczycieli. W szkole pojawiła się nowa kserokopiarka i pierwsze komputery. Nasza praca stała się o wiele łatwiejsza.

Ucząc języka angielskiego zawsze starałam się dać moim dzieciakom coś więcej, niż tylko realizację programu nauczania. Byłam jednym z pierwszych nauczycieli, którzy wprowadzili pracę metodą projektu. Kontakty ze szkołą amerykańską w Warszawie pokazały naszym uczniom, że lekcja może wyglądać inaczej. Dla mnie ważne było to, że praca w grupach, samodzielne wyszukanie i opracowanie materiałów ułatwiało dzieciakom zapamiętanie trudnych słów i zwrotów języka angielskiego. Późniejsza prezentacja projektu też miała swój cel. Pomagała uczniom przełamać barierę mówienia w obcym języku. A poza tym dawała szansę tym mniej uzdolnionym językowo na uzyskanie dobrej oceny.

W każdej klasie były osoby, dla których język angielski był *„łatwizną”*. Mieli po prostu predyspozycje lingwistyczne, a moim zadaniem było to wykorzystać. Zachęcałam ich do wychodzenia poza program, do poszerzania swojej wiedzy, do uczestniczenia w różnych konkursach i olimpiadach. Czasami zdarzali się bardzo zdolni uczniowie, którzy tak, jak Adam Piątek i Agata Paplińska, zostawali finalistami Olimpiady Języka Angielskiego. Miałam też wychowanka o wybitnym talencie językowym. Namawiałam go, żeby przystąpił do Egzaminu Państwowego z języka angielskiego, jak tylko skończy szesnaście lat. (Był to warunek regulaminowy). Zrobił to, kiedy był w drugiej klasie liceum. Zdał ten trudny egzamin z dobrym wynikiem. Kiedy przyszedł do mnie, do szkoły, żeby pochwalić się tym osiągnięciem, powiedział, że to właściwie moja zasługa, bo bez mojego namawiania pewnie w ogóle by tam nie poszedł. Byłam z niego bardzo dumna.

Bardzo szybko otrzymałam swoje pierwsze wychowawstwo i zostałam tzw. *kobietą z klasą*. Pani dyrektor musiała mi bardzo ufać, bo postawiła przede mną nie lada wyzwanie. Klasa, którą dostałam, liczyła 17 chłopców i 4 dziewczynki. Kiedy pierwszego września zobaczyłam ich po raz pierwszy, byłam pełna obaw. Z ławek patrzyło na mnie siedemnastu urwisów mających sto pomysłów na minutę, których energia wprost rozpierała. Do tego cztery delikatne, grzeczne dziewczynki, wyraźnie zdominowane przez swoich kolegów. Pierwsze dni nauki potwierdziły moje obawy, chłopcy rzeczywiście byli psotni i niesforni, a dziewczęta nieśmiałe i potulne. Zwykle wychowawca, który obejmował nową klasę, zabierał swoich podopiecznych na krótką, jedno lub dwudniową wycieczkę, gdzie mógł obserwować ich zachowanie w sytuacji poza szkołą. Dawało to możliwość poznania ich charakterów, koleżeńskich interakcji oraz umiejętności współpracy. Zastanawiałam się, dokąd mogę zabrać moje dzieciaki. Jakie miejsce może ich zainteresować na tyle, by chłopcy po

godzinie nie zaczęli się nudzić i rozrabiać. Nie pamiętam już kto zasugerował mi poligon wojskowy. To była myśl! Wycieczka okazała się strzałem w dziesiątkę. Chłopcy z wypiekami na twarzy oglądali prawdziwe czołgi, armaty i inną broń. Żołnierze z jednostki oddelegowani do opieki nad naszą grupą, pozwalali im wejść dosłownie wszędzie. Największą atrakcją okazał się jednak tzw. „małpi gaj" czyli specjalny tor przeszkód, na którym chłopcy poczuli się jak prawdziwi komandosi. Moi uczniowie nie bali się niczego, pod opieką doświadczonych wojskowych, pokonali każdą przeszkodę, przeczołgali się przez każdą dziurę. Wcześniej, poprosiłam Rodziców, żeby dali dzieciakom odpowiednie stroje, których, w razie czego, nie będzie szkoda wyrzucić. Kiedy chłopcy wracali z toru przeszkód, byli brudni jak święta ziemia, ale radość biła z nich na kilometr. A ja ponownie przekonałam się o prawdziwości powiedzenia, że dzieci dzielą się na czyste i szczęśliwe. Kolejną atrakcją miała być prawdziwa wojskowa grochówka. Wcześniej, uczniowie marudzili, że nie będą tego jedli, że nie lubią takiej zupy itp. Teraz spałaszowali wszystko, a wielu prosiło o dokładkę. Nie zostawili nawet jednej kromki chleba. Wysiłek fizyczny i chłodne, jesienne powietrze zrobiły swoje.

Wiedziałam, że dla dziewcząt ta wycieczka nie będzie żadną atrakcją ale, ku mojemu zaskoczeniu, bawiły się całkiem dobrze. Kibicowały chłopcom i robiły zakłady, kto okaże się mistrzem. Przed wycieczką, w ramach zadośćuczynienia, obiecałam im, że przy najbliższym wyjeździe do kina to one wybiorą film, a chłopcy będą się musieli na to zgodzić. Był to doskonały pomysł. Okazało się, że po raz pierwszy dziewczynki mogły o czymś zadecydować nie będąc zakrzyczane przez kolegów. Przekonały się, że chociaż jest ich tylko cztery, mają takie same prawa jak inni, a ich głos się liczy.

Następnego dnia, na przerwie, przez przypadek usłyszałam jak jeden z moich uczniów z przejęciem opowiada koledze z innej klasy o wczorajszych atrakcjach. Ten drugi słuchał z zapartym tchem, po czym westchnął i powiedział z rezygnacją w głosie: „ a my to musieliśmy oglądać jakieś stare kościoły…" A kiedy na najbliższym zebraniu Rodzice opowiadali mi, że ich synowie nigdy jeszcze tak entuzjastycznie nie wyrażali się o żadnej wycieczce, zrozumiałam, że odniosłam swój pierwszy sukces wychowawczy. Później, prowadziłam jeszcze wiele różnych klas, ale ta pierwsza była jednak największym wyzwaniem.

Każdy nauczyciel i wychowawca dąży do tego, żeby uczniowie maksymalnie wykorzystywali swój potencjał. Zawsze zachęcałam moje dzieciaki do tego,

żeby uczestniczyły w różnych zawodach, konkursach czy turniejach. Tłumaczyłam im, że nawet jeżeli przegrają, to przecież zdobędą doświadczenie, które może się im przydać w przyszłości. Pamiętam, jak raz namawiałam dziewczynkę, żeby zgłosiła się do rozgrywek sportowych (dobrze biegała). Miała wątpliwości, czy ma szanse na wygraną. Powiedziałam jej, że nawet jak przegra, to i tak coś zyska. Zapytała: „a co takiego?" Ja jej na to: „poprawisz

kondycję i dogonisz autobus." Roześmiała się serdecznie i poszła na te zawody. Zajęła pierwsze miejsce. Takich historii było bardzo dużo. Później, z dumą wręczałam moim uczniom nagrody i podziękowania, nie tylko te za naukę.

Nauczyciele, poza swoimi godzinami obowiązkowymi, mają jeszcze jakieś dodatkowe zadania. Ja, przez kilka lat pełniłam funkcję opiekuna samorządu szkolnego. Wiązało się to, między innymi, z pomocą w organizacji różnych uroczystości, apelu na Dzień Nauczyciela czy Święto Szkoły. Nigdy nie lubiłam podniosłych, patetycznych akademii. Nawet kiedy sama byłam uczennicą, zawsze starałam się, żeby „nasze" apele były ciekawe lub zabawne. Teraz

chciałam pokazać uczniom, że można zrobić coś oryginalnego, a nie tylko wyrecytować kilka tematycznych wierszyków i zaśpiewać parę piosenek. Samorząd Szkolny był odpowiedzialny za organizację pierwszego dnia wiosny, tzw. Dnia Wagarowicza. Początkowo były to „*lekcje na wesoło*". Raz wymyśliliśmy przebierankę. Nauczyciele mieli przyjść w strojach symbolizujących wiosnę i na apelu robiliśmy pokaz mody wiosennej. Niektóre stroje były naprawdę pomysłowe. Innym razem zaproponowałam dzieciakom, żeby zrobić wybory Miss i Mistera Szkoły. Pomysł się spodobał. Opracowaliśmy regulamin, ustaliliśmy kryteria i

rozpoczęliśmy zabawę. Wybory te odbywały się kilka lat pod rząd. Miały formę konkursu. Brały w nim udział tylko starsze klasy. Najpierw uczniowie wybierali swoich klasowych reprezentantów. Oni tworzyli grupę finalistów, spośród których wyłaniano Miss i Mistera Szkoły. Kandydaci musieli się wykazać różnymi zdolnościami. Oprócz urody liczyła się bowiem inteligencja, sprawność fizyczna, poczucie humoru i błyskotliwość. Uczniowie mieli do wykonania różne zadania, czasem bardzo trudne. Zawsze było przy tym dużo śmiechu i zabawy.

Jednym z moich pomysłów na Dzień Edukacji Narodowej była zgadywanka, którą roboczo nazwaliśmy *„who is who?”* Poprosiłam wszystkich nauczycieli i pracowników szkoły o przyniesienie swoich zdjęć z dzieciństwa. Następnie, razem z uczniami z samorządu, zrobiliśmy specjalne tablice na stojakach. Na każdej takiej planszy było zdjęcie danej osoby i opis zawierający jej cechy charakteru, hobby, znak zodiaku itp. Nie było tylko imienia i nazwiska. Z tych plansz zrobiliśmy w sali gimnastycznej coś w rodzaju wystawy. Cała zabawa polegała na tym, żeby odgadnąć, kto jest na danym zdjęciu. Nie było to wcale łatwe zadanie, bo różnica między kilkuletnim maluchem a osobą dorosłą była czasami ogromna. Kiedy minął czas oglądania zdjęć, zebraliśmy wyniki i podsumowaliśmy trafność skojarzeń. (Odgadywać mogli wszyscy – uczniowie, nauczyciele, pracownicy szkoły). Okazało się, że 100% trafień miał pan Zbigniew Matfin, nauczyciel w-f. W jego przypadku zadanie było proste, bo do szkoły chodziła wtedy jego córka, Agnieszka, która była bardzo do niego podobna. Wiele osób odkryło również tożsamość pana Stasia Wiśniewskiego, naszego woźnego, którego syn także był uczniem naszej szkoły. Natomiast absolutnie nikt nie odgadł kim jest małe, pyzate bobo z burzą złotych loków, bo trudno było skojarzyć, że to nauczyciel historii, pan Janusz Kuźnieców – wysoki i bardzo szczupły mężczyzna z ciemnymi i lekko przerzedzonymi włosami. Kiedy odkrywaliśmy poszczególne nazwiska, co chwila wybuchały salwy śmiechu lub okrzyki niedowierzania. To rzeczywiście była dobra zabawa. Ja miałam w tym jeszcze jeden cel. Chciałam, żeby uczniowie zobaczyli w swoich nauczycielach nie tylko pedagogów, ale i zwykłych ludzi, którzy także byli kiedyś dziećmi.

Z tym apelem wiąże się jeszcze jedna historia. Otóż, pani Krysia Krawczak, nasza ówczesna matematyczka, przyszła do mnie zmartwiona, mówiąc, że nie może przynieść swojego zdjęcia z dzieciństwa, bo ich dom rodzinny doszczętnie się spalił i nie postała jej żadna fotografia z tamtego okresu. Prosiłam ją, żeby postarała się jednak coś zrobić, żeby popytała w rodzinie, wśród znajomych, może ktoś coś ma. Wydawało się to nierealne, bo w tamtych czasach zdjęcia nie były tak powszechne (nie było telefonów komórkowych ani smartfonów, nawet aparat fotograficzny był rzadkością). Pani Krysia była trochę zła, że się tak uparłam i zmuszam ją do beznadziejnych poszukiwań. Ale stał się cud. Okazało się, że Matka Chrzestna naszej matematyczki miała fotografię małej Krysi z dnia jej Pierwszej Komunii Św. Problem w tym, że mieszkała w miejscowości oddalonej o ponad 100 km. Pani Krawczak zawsze

była sumienną osobą, więc pokonała owe 100 km, żeby móc dać swoje zdjęcie na szkolny apel. Później, przyszła do mnie z podziękowaniem za ten pomysł i za mój upór. Powiedziała, że dzięki mnie może pokazać swoim dorosłym już synom i swoim wnukom jak wyglądała w dzieciństwie.

Innym pomysłem na apel z okazji Dnia Edukacji Narodowej, była uroczystość inspirowana wyborami Miss Polonia. Poprosiłam uczniów z samorządu, by zastanowili się, jakie są ich pierwsze skojarzenia, kiedy myślą o danym nauczycielu czy pracowniku szkoły. Jaka cecha danej osoby najlepiej ją charakteryzuje. Tak powstały tytuły naszych „Miss" i „Misterów". Następnie przygotowaliśmy piękne szarfy z konkretnymi napisami. I tak, na przykład, pani dyrektor Alina Majewska, która miała piękne włosy i była zawsze starannie uczesana, została Miss Pięknej Fryzury. Pani Janeczka Kowol, ówczesna bibliotekarka, która starała się pomóc każdemu dziecku, otrzymała tytuł Miss Złotego Serduszka. Ja zostałam obdarowana dwiema szarfami – zostałam Miss Szalonych Pomysłów oraz Miss Poczucia Humoru. Myślałam, że uczniom najtrudniej będzie przyznać ten najważniejszy tytuł – Królowej Szkoły, ale nie mieli żadnych wątpliwości. Niemal jednogłośnie wybrali panią Elę Wiśniewską, naszą panią woźną, która rzeczywiście była dla nich kimś bardzo ważnym i bliskim. Kiedy, na apelu, ogłoszono werdykt i wywołano panią Elę, ta nie wierzyła własnym uszom. Wyszła na środek na miękkich nogach, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Kiedy opasano ją szarfą z napisem Królowa Szkoły, na głowę włożono koronę i wręczono bukiet kwiatów, przez długą chwilę stała bez ruchu. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy i łez wzruszenia, kiedy zabrzmiała muzyka do rundy honorowej a ona szła rozpromieniona, patrząc jak cała sala bije jej brawo. Wiele lat później dowiedziałam się, że przez bardzo długi czas ta szarfa wisiała u pani Eli w salonie na honorowym miejscu, aż napis zupełnie wyblakł.

Zmiany ustrojowe lat 90-tych miały duży wpływ na „odkłamywanie" historii Polski. Między innymi temat Powstania Warszawskiego przestał być ignorowany. Tak się złożyło, że budynek naszej szkoły stoi w miejscu, gdzie w czasie wojny rozbił się amerykański samolot lecący z pomocą dla powstańców. Postanowiono upamiętnić ten fakt. Powstał specjalny komitet, zebrano fundusze i ufundowano tablicę pamiątkową. Odsłonięcie tej tablicy odbyło się bardzo uroczyście. Była kompania honorowa wojska polskiego, telewizja, ważni goście. Do Dziekanowa Leśnego przyjechali uczniowie ze szkoły amerykańskiej w Warszawie wraz ze swoimi nauczycielami. Ambasadę USA reprezentował attache wojskowy – pułkownik Gardeween. Ale najważniejszymi gośćmi byli pan Bernard Shook, brat poległego lotnika, sierżanta Marcusa Shook'a oraz generał Stanisław Skalski - as lotnictwa, pilot

słynnych Dywizjonów polskich biorących udział w bitwie o Anglię, człowiek, który swoimi czynami tworzył Wielką Historię. Byłam bardzo szczęśliwa i dumna, że mogłam go poznać.

Brałam w tej uroczystości czynny udział, ponieważ to mnie przypadła rola tłumacza (byłam wtedy jedyną anglistką w szkole). Trochę się denerwowałam, ale właściwie nie miałam problemu, bo w poprzedniej pracy często spotykałam zagranicznych gości przyjeżdżających do nas na różne konferencje naukowe. Tutaj jednak byłam w centrum uwagi. Cały czas stałam przy mikrofonie i czułam na sobie uważne spojrzenia raz jednej grupy, raz drugiej, zależnie od języka, w którym właśnie mówiłam. Było to dość stresujące. Kiedy oficjalna część uroczystości się skończyła, trochę odetchnęłam, ale to nie było koniec moich obowiązków translatorskich. Goście zostali zaproszeni do sali gimnastycznej na poczęstunek. Zaczęły się swobodne rozmowy, które tłumaczy się najtrudniej, szczególnie, że obcokrajowców było sporo, a ja tylko jedna. Bardzo pomógł mi pan generał Skalski, który doskonale znał angielski i mógł rozmawiać z Amerykanami bez mojego pośrednictwa.

Kilka dni później, kiedy szłam do pracy, zaczepiła mnie mała dziewczynka. Grzecznie się ukłoniła i powiedziała z dumą w głosie: „a ja panią widziałam na filmie, mówiła pani po angielsku.” Okazało się, że dzieciaki z jej klasy oglądały nagranie video z tej uroczystości, a ona mnie zapamiętała. Wtedy uświadomiłam sobie, że stałam się osobą publiczną, że chociaż mieszkam w Dziekanowie Leśnym od niedawna, prawie wszyscy mnie tu znają. W porównaniu z warszawską anonimowością, było to zupełnie nowe doświadczenie.

Tamten dzień i spotkanie z zagranicznymi gośćmi miało swój dalszy ciąg. To wtedy właśnie nawiązaliśmy kontakty zarówno z Ambasadą USA jak i ze Szkołą Amerykańską w Warszawie. Kilkakrotnie uczniowie naszych placówek odwiedzali się nawzajem, miałam okazję poznać metody nauczania grup wielonarodowościowych (w Szkole Amerykańskiej były wtedy dzieci z prawie 40 krajów). Uczestniczyliśmy w ciekawych imprezach jak np. „Dzień Narodów Zjednoczonych”. Innym razem degustowaliśmy różne potrawy, czasem bardzo egzotyczne, przygotowane przez mamy uczniów w ramach prezentacji „mój kraj”. Nasi uczniowie mieli wspólne lekcje muzyki i rozgrywki sportowe. Od nauczycieli Szkoły Amerykańskiej dostałam w prezencie piękny zestaw *flashcards,* który służył mi potem przez wiele lat.

W związku z kolejnymi rocznicami upamiętniającymi tragiczną śmierć lotników alianckich, naszą szkołę odwiedziło wielu zagranicznych gości, więc rolę tłumacza pełniłam jeszcze wielokrotnie.

Doskonale pamiętam wizytę państwa Bentley z Teksasu. Doris i Russell Bentley, zwykli obywatele amerykańscy, którzy nie mieli żadnych związków z załogą

zestrzelonego samolotu, chcieli podziękować narodowi polskiemu za nasz wkład w obalenie komunizmu oraz za przyjaźń polsko-amerykańską. Nie bardzo wiedzieli w jakiej formie mogą to zrobić więc napisali list do Białego Domu z prośbą o pomoc. Kancelaria Prezydenta USA przekazała tę sprawę Ambasadzie USA w Warszawie. Stąd była już prosta droga do Dziekanowa Leśnego. Pewnego dnia zadzwonił do mnie pracownik ambasady z pytaniem, a właściwie prośbą, żebym zajęła się kolejnymi gośćmi z USA. Były wtedy wakacje, więc miałam wolny czas i zgodziłam się bez oporu. Państwo Bentley okazali się bardzo miłymi ludźmi, cieszyli się z wizyty w szkole i spotkania z młodzieżą. Udało mi się bowiem zwołać grupę uczniów, którzy akurat byli na miejscu. Państwo Bentley zamierzali spędzić w Polsce kilkanaście dni, było więc trochę czasu bym mogła pokazać im Warszawę. Zobaczyli Starówkę, zwiedzili Zamek Królewski i Wilanów. Doradziłam im również, by pojechali do Krakowa i do Gdańska. Później dostałam od nich serdeczny list z podziękowaniem. Przez wiele lat utrzymywaliśmy jeszcze kontakt korespondencyjny.

Kolejnym amerykańskim gościem był pan Dale Engquist, dyrektor Parku Narodowego „*Indiana Dunes*", który przyjechał do Polski w ramach współpracy z

naszym Kampinoskim Parkiem Narodowym. Kiedy dowiedział się o historii zestrzelonego samolotu, poprosił o możliwość odwiedzenia szkoły i tak znowu pełniłam rolę tłumacza. Pan Dale Engquist zainteresował się naszą pracownią biologiczną i zajęciami z ekologii. Był pod wrażeniem tego, co zrobiliśmy dla upamiętnienia poległych lotników. Wysłuchał ich historii i obejrzał „kącik pamięci" w pracowni historycznej. Pojechaliśmy też na Cmentarz w Kiełpinie, gdzie znajduje się ich pomnik. Owocem tej wizyty były piękne eksponaty i zdjęcia przysłane później z Parku „*Indiana Dunes*".

Byli też u nas goście z innych krajów. Pamiętam wizytę pewnej Szwedki, żony dyplomaty, który był w Polsce z oficjalną wizytą państwową. Ponieważ była ona nauczycielką, poprosiła o możliwość zobaczenia zwykłej, polskiej szkoły. Tak trafiła do nas. Bardzo dokładnie obejrzała naszą placówkę, uczestniczyła nawet w lekcji plastyki. Zainteresowała się też historią poległych lotników. Powiedziała, że w piękny sposób potrafimy zachować pamięć o poległych bohaterach.

Dla mnie jednak, najmilszym gościem była pani Gerlinde Schranz, nauczycielka ze Szwajcarii, która przyjechała do nas w listopadzie 2002 roku. Pisała ona pracę naukową na temat europejskich systemów edukacyjnych i była na etapie zbierania materiałów. Nasza szkoła zrobiła na niej duże wrażenia (planowała jedną wizytę, a później przyjechała do nas ponownie). Po kilku tygodniach otrzymałam od niej serdeczny list z podziękowaniem za pomoc i opiekę. Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, wysłałam jej kartkę z życzeniami świątecznymi. Tak zaczęła się nasza znajomość i kontakt listowny, który trwa do dziś. Pani Gerlinde Schranz jest zauroczona Polską i Polakami. Od czasu tamtej wizyty była w naszym kraju wielokrotnie (już zupełnie prywatnie). Spotykamy się za każdym razem kiedy tylko jest w Warszawie.

Wizyty zagranicznych gości i rola tłumacza miały dla mnie jeszcze jedną konsekwencję. Okazało się, że ani mikrofon, ani szeroka publiczność mnie nie peszą. Zaczęłam prowadzić różne uroczystości i apele. Najbardziej pamiętam galę z okazji otwarcia nowego skrzydła szkoły. Ponownie zjechała się do nas cała masa ważnych osób, z władzami samorządowymi i oświatowymi na czele. Uroczystość była bardzo podniosła. Po części oficjalnej, różnych

przemowach i podziękowaniach oraz poświęceniu nowych pomieszczeń, była część artystyczna. Wystąpili nasi uczniowie i absolwenci. Program uroczystości był naprawdę bogaty. Ktoś musiał to wszystko prowadzić, by nie wkradł się chaos. Pani dyrektor Alina Majewska powierzyła tę misję mnie i Zbyszkowi Matfinowi, który uczył u nas wychowania fizycznego i miał ładny, silny głos. Nie ukrywam, że na początku byliśmy trochę przerażeni, baliśmy się, że skala przedsięwzięcia nas przerośnie. Zdecydowaliśmy się jednak chwycić byka za rogi. W dwa wieczory napisałam plan tej uroczystości, przedstawiłam nasz projekt dyrekcji i nauczycielom. Dokonaliśmy kilku korekt i przystąpiliśmy do przygotowań. Pamiętam, że ostateczny scenariusz napisałam na maszynie w dwóch egzemplarzach z dokładnym podziałem na role. Każde z nas zaznaczyło swoje kwestie i przeprowadziliśmy pierwsze próby. Musieliśmy być ze Zbyszkiem idealnie zgrani, bo czasami jedno zaczynało jakąś kwestię, a

drugie kończyło. Kiedy to już zostało dopracowane, poszliśmy na salę gimnastyczną, żeby na miejscu ustalić gdzie kto ma siedzieć, którędy będzie wychodził do mikrofonu, gdzie najlepiej ustawić nagłośnienie itp. Kiedy to już zostało doszlifowane, zaczęła się najtrudniejsza część – synchronizacja w czasie. Musieliśmy wziąć pod uwagę wiele różnych rzeczy - że ktoś z ważnych gości może się spóźnić, albo że będzie musiał wyjść wcześniej, w trakcie uroczystości, że nagle ktoś „niezaplanowany" zechce zabrać głos, że któreś z występujących dzieci tego dnia nie przyjdzie do szkoły itp. Możliwości „wpadek" było mnóstwo, a my musieliśmy je przewidzieć i mieć w zanadrzu jakieś szybkie rozwiązania. Jednak największy kłopot sprawił nam moment poświęcenia nowego budynku. Kiedy zrobiliśmy wstępną próbę, okazało się, że przejście księdza proboszcza po nowych korytarzach i pokropienie wszystkich sal, zajmuje prawie 20 minut! Tworzyła się ogromna „dziura" w programie. Byliśmy zrozpaczeni. Czym zająć widownię na sali gimnastycznej przez tak długi czas? Nie można było iść dalej z programem, kiedy część ważnych gości opuściła salę wraz z księdzem proboszczem, żeby wziąć udział w obrzędzie poświęcenia szkoły. Musieliśmy czekać na ich powrót. Mieliśmy, co prawda, jeden punkt programu, który mógł być wtedy wykonany, ale trwał zaledwie niecałe 10 minut. Uznałam, że trzeba maksymalnie skrócić sam obrzęd poświęcenia, ale jak prosić zaproszonego gościa, żeby się pospieszył, bo inaczej my będziemy mieli „dziurę". To byłby koszmarny nietakt! Postanowiłam jednak spróbować. Ustaliliśmy, że Zbyszek zostanie na sali i będzie prowadził program, a ja wyjdę z grupą towarzyszącą księdzu proboszczowi i będę ich przewodnikiem. Ksiądz proboszcz nie ułatwił mi zadania. Na parterze, wszedł do każdej klasy, pozachwycał się jej wystrojem i bardzo porządnie poświęcił. Za nim powoli szła reszta grupy. Byłam bliska paniki. Jeżeli tak będzie na każdym piętrze, to zajmie to dobre pół godziny! Postanowiłam zaryzykować. Kiedy weszliśmy na pierwsze piętro, zaproponowałam, żeby poświęcić bibliotekę i tylko jedną salę lekcyjną – tak symbolicznie. Ksiądz proboszcz miał pewne wątpliwości ale z rozbrajającym uśmiechem powiedziałam, że przecież Bóg jest wszędzie. Udało się. Ksiądz proboszcz poświęcił tylko te dwa pomieszczenia i poszliśmy na drugie piętro, gdzie też, symbolicznie, został poświęcony nowy korytarz i tylko jedna pracownia. Traf chciał, że była to sala języka angielskiego. (Wtedy nie byłam w stanie przewidzieć jakie to będzie miało konsekwencje. Kilka dni później usłyszałam jak jedna uczennica mówi do drugiej: „wiesz, to jest klasa pani Oli, od angielskiego. Najważniejsza, bo ksiądz tylko tu poświęcił, do tamtych nawet nie zajrzał"). Kiedy wróciliśmy na salę gimnastyczną właśnie kończył się nasz „rezerwowy" punkt programu. Odetchnęliśmy. Reszta poszła już gładko. Po całej uroczystości pani dyrektor zaprosiła nas do gabinetu, podziękowała i powiedziała, że goście z telewizji pytali ją skąd wynajęła parę prowadzących. Kiedy odpowiedziała, że to jej nauczyciele, dziennikarze nie wierzyli. Powiedzieli, że zrobiliśmy to jak prawdziwi profesjonaliści. Byliśmy ze Zbyszkiem bardzo dumni i szczęśliwi. Fakt, że sporo się napracowaliśmy, ale było warto!

Od tamtego czasu prowadziłam mnóstwo apeli, konkursów, quizów itp. Mikrofon stał się moim nieodłącznym atrybutem, niemal narzędziem pracy! Stałam się „*etatowym konferansjerem*".

Szkoła została rozbudowana. Warunki lokalowe znacznie się poprawiły, tak że dzieciaki uczyły się tylko na jedną zmianę. Wreszcie był czas i miejsce, żeby móc prowadzić różne zajęcia pozalekcyjne. Oferta edukacyjna szkoły bardzo się poszerzyła. Jak grzyby po deszczu powstawały różne kółka zainteresowań - sportowe, plastyczne, ekologiczne itp. Mnie zawsze interesował teatr, więc oprócz dodatkowych zajęć z języka angielskiego, prowadziłam kółko recytatorskie, które później przekształciło się w koło teatralne. Razem ze swoimi podopiecznymi kilkakrotnie pojechaliśmy na warsztaty teatralne organizowane przez Dom Kultury w Łomiankach. Były to bardzo ciekawe i owocne spotkania ze znanymi aktorami, którzy udzielali nam cennych rad i pomagali doskonalić nasze umiejętności. Moi uczniowie mogli poznać takie sławne osoby jak Krzysztof Kolberger czy Dorota Kamińska. Dostaliśmy od nich wiele słów zachęty, a nawet pochwał.

Po kilku latach intensywnej pracy zaczęły się moje kłopoty zdrowotne. Miałam problemy z gardłem, czułam silny ból a nawet traciłam głos. Lekarz stwierdził, że sprawa jest poważna. Po wielu badaniach, długim zwolnieniu i intensywnym leczeniu, orzeczono u mnie chorobę zawodową. Skutek był taki, że lekarz zezwolił mi na pracę głosem w bardzo ograniczonym wymiarze. Byłam załamana. Zawód nauczyciela, praca z dzieciakami, które dawały mi tyle radości i satysfakcji, nagle stawały się nierealne. Musiałam zmienić profesję. Los przyszedł mi z pomocą, bo okazało się, że pani bibliotekarka właśnie odchodzi na emeryturę i zwalnia się jej miejsce. Pani Majewska zgodziła się na zmianę mojej umowy o pracę. Teraz miałam być anglistą na pół etatu oraz bibliotekarzem na drugie pół etatu. Musiałam tylko uzupełnić wykształcenie. Wróciłam więc na Uniwersytet Warszawski, moją macierzystą uczelnię, gdzie ukończyłam podyplomowe studia w zakresie bibliotekoznawstwa.

Biblioteka, w której zaczęłam pracować, mieściła się wówczas na pierwszym piętrze, tam, gdzie później była sala 12. Było to małe pomieszczenie, ale

znacznie większe, niż poprzednia klitka w kawałku korytarza. Docelowo miała być przeniesiona na parter do dużej sali z dwoma zapleczami (tam, gdzie teraz mieści się pracownia informatyczna). Niestety, ten plan nie doczekał się realizacji, ze względu na konieczność zmian spowodowanych wprowadzeniem gimnazjum. Zamiast dużego pomieszczenia z dwoma zapleczami, skończyło się na jednym zapleczu z kawałkiem sali lekcyjnej. Ambitne plany poszerzenia księgozbioru spełzły na niczym, ponieważ miejsca starczyło tylko na lektury, księgozbiór podręczny i niewielką ilość beletrystyki. Na początku bałam się, że praca w bibliotece wyda mi się nudna, bo cóż ciekawego może być w wypożyczaniu książek? Jak bardzo się myliłam. Miałam codziennie tyle różnych zajęć, że absolutnie nie było miejsca na nudę. Na przykład prowadzenie kroniki szkolnej. Przez kilka lat zajmowałyśmy się tym we dwie, ja i pani Hania Matfin. Ona odpowiadała za oprawę graficzną (uczyła plastyki i miała niebywałe zdolności artystyczne), ja redagowałam teksty. Później, wraz z rozwojem komputeryzacji, kiedy każda szkoła miała swoją stronę internetową, kroniki przyjęły formę elektroniczną i zajmowali się tym informatycy.

Mimo trudnych warunków lokalowych, nie brakowało nam pomysłów. Razem ze wspomnianą już Hanią Matfin, postanowiłyśmy umożliwić naszym uczniom poznanie prawdziwego pisarza. Udało nam się zaprosić panią profesor Joannę Papuzińską, autorkę książek dla dzieci. Przecież jej *„Nasza mama czarodziejka.”* stała u nas na półce w dziale lektur szkolnych! Wizyta pani profesor była bardzo udana. Te warsztaty literackie zapoczątkowały późniejszy cykl spotkań z ciekawymi ludźmi. Potem odwiedzili nas inni pisarze. Między innymi był u nas pan Maciej Wojtyszko, znany reżyser i pisarz. Dzieci znały jego cykl o *Brombie* oraz „*Tajemnicę szyfru Marabuta*”. Jeszcze później gościliśmy pana Grzegorza Kasdepke, autora cyklu książek z detektywem *Pozytywką*.

Prawdziwym wyzwaniem dla bibliotekarzy szkolnych stała się reforma oświatowa i wprowadzenie darmowych podręczników. W naszych warunkach był to prawdziwy koszmar. Odbywało się to w ten sposób, że w ostatnich dniach sierpnia, do szkoły zwożono olbrzymią ilość paczek z nowymi podręcznikami. Dostawca zwykle zwalał wszystko bezładnie na jedno miejsce. Pudła zajmowały cały korytarz. Bibliotekarz miał za zadanie to wszystko rozpakować, policzyć, sprawdzić z zamówieniem, posortować, zaksięgować, ostemplować i przydzielić konkretnym uczniom. W naszej bibliotece nie było na to miejsca. Zwykle korzystałam z pustych wtedy sal lekcyjnych. Uczciwie przyznam, że gdyby nie pomoc wielu nauczycieli, nigdy nie dałabym rady przygotować podręczników tak, by uczniowie otrzymali je na samym początku września. Wychowawcy, nauczyciele świetlicy i kto tylko mógł przychodził w ostatnie dni wakacji i pomagał mi sortować, stemplować i księgować wszystkie pozycje. Potem układaliśmy to wszystko w stosy, osobno dla każdej klasy, żeby już drugiego września rozdać je uczniom. Była to mordercza praca i przyznam, że kiedy wracałam do domu czułam się jak górnik po ciężkiej szychcie.

Praca w bibliotece dała mi coś bardzo cennego – bliskie relacje z ludźmi. Okazała się być dla mnie równie satysfakcjonująca jak prowadzenie zajęć w klasie. Nawet nie przypuszczałam, że mój kontakt z uczniami tak bardzo się zacieśni. Do tej pory dzieciaki miały ze mną styczność na lekcji albo na przerwie.

Nie zawsze były to komfortowe warunki do rozmowy. Teraz, mogły przyjść do biblioteki, gdzie panowała cisza i spokój i nie było osób postronnych. Można było swobodnie pogadać, opowiedzieć o swoich kłopotach, poradzić się. Uczniowie często z tego korzystali. Nie raz powierzali mi swoje tajemnice, radzili się w różnych sprawach. Zdarzało się, że Rodzice moich podopiecznych mówili, że wiem więcej o ich dzieciach, niż oni sami. To była prawda. Atmosfera biblioteki sprzyjała poufnym rozmowom, nikt nie przeszkadzał, ja nigdzie się nie spieszyłam, cierpliwie czekałam, aż wyrzucą z siebie to, co leżało im na sercu. Te rozmowy bardzo nas do siebie zbliżały. Oczywiście, przychodzili również uczniowie z innych klas. Czasami czekali na dodatkowe zajęcia, albo na Rodziców, którzy nie mogli ich wcześniej odebrać. Zawsze uważnie patrzyłam, co wybierają do czytania. W ten sposób poznawałam ich zainteresowania. Podsuwałam im ciekawe książki, a później

pytałam o opinię. Te rozmowy często przeradzały się w szersze dyskusje, skąd już był tylko krok do konkretnego koła zainteresowań, czy wzięcia udziału w jakimś przedsięwzięciu. A to z kolei budowało ich pewność siebie, dawało poczucie własnej wartości, o które tak trudno w okresie dojrzewania. Praca w bibliotece zdecydowanie mi się podobała.

Zdarzały się także zabawne historie. Pamiętam jak kiedyś przyszła mała dziewczynka i powiedziała: „poproszę taką cienką książkę". Zapytana o tytuł, pokręciła przecząco główką. Już miałam odesłać ją z kwitkiem, ale patrzyła na mnie z taką ufnością, że po prostu nie mogłam jej zawieść. Zaczęłam intensywnie myśleć, po czym zdjęłam z półki książeczkę pt. „*Jak Wojtek został strażakiem*", lekturę, którą pierwsze klasy zwykle omawiały w tym okresie. „Taką?" zapytałam. „Taką." Potwierdziła z uśmiechem. Po chwili wyszła, zadowolona, że załatwiła sprawę. A ja z rozbawieniem pomyślałam, że chyba nadaję się na detektywa.

Innym razem, do biblioteki przyszedł uczeń prosząc o „*Krzyżaków*". Mieliśmy różne wydania tej powieści, między innymi jedno z pięknymi ilustracjami. Te egzemplarze zawsze wydawałam w pierwszej kolejności. Kiedy podałam uczniowi książkę, usłyszałam przerażony jęk chłopaka: „o rany, jaka gruba". Rzeczywiście, było tomisko dość potężnych rozmiarów. Nie wiem co mnie wtedy podkusiło, ale widząc jego rozpacz, sięgnęłam po inne wydanie tej lektury, dużo mniejsze i *„chudsze".* Z poważną miną zapytałam: „może chcesz skróconą wersję?" Uczeń złapał tę książkę w mgnieniu oka, spojrzał na mnie z wdzięcznością i wykrzyknął: „ o Jezu! Jaka pani dobra!" Miałam nadzieję, że teraz przeczyta lekturę bez stresu.

Biblioteka była również miejscem, gdzie swobodnie mogliśmy robić próby do kolejnych przedstawień, albo planować nowe przedsięwzięcia. Pod ręką były tomiki poezji, śpiewniki z piosenkami czy albumy, skąd czerpaliśmy inspiracje do tworzenia dekoracji. Tam mogliśmy zgromadzić kostiumy i potrzebne rekwizyty. To był nasz azyl. Myślę, że bez mojej pracy w bibliotece, wiele naszych pomysłów nie doczekałoby się realizacji.

Często tematy przedstawień i apeli podpowiadała nam sama rzeczywistość. W roku 2003 Polska podpisała Traktat Akcesyjny stanowiący prawną podstawę

naszego przystąpienia do Unii Europejskiej. Pomyślałam wtedy, że właściwie nasi uczniowie nic o tej Unii nie wiedzą. Razem z panią Hanią Matfin opracowałyśmy specjalny informator, który zatytułowałyśmy *„O Unii Europejskiej prawie wszystko…”* Były to głównie materiały dla nauczycieli ale stały się dla mnie podstawą do opracowania scenariusza apelu dla uczniów. Tak powstał nasz „Dzień Unii Europejskiej.”

Biblioteka była niewyczerpanym źródłem pomysłów i inspiracji. To tam znajdowałam ciekawe scenariusze przedstawień i materiały do ich realizacji. Kiedy, jedna z moich klas miała przygotować jasełka, stwierdziłam, że klasyczna wersja z Aniołem, pasterzami i pokłonem Trzech Króli była pokazywana już tyle razy, że widzowie znają każdą kwestię na pamięć. Zaproponowałam dzieciakom, że zrobimy te jasełka

zupełnie inaczej. Akcja naszego przedstawienia toczyła się w różnych miejscach: w szpitalu, na policji, w piekle. Bohaterowie też byli nietypowi, oprócz Świętej Rodziny, pojawiał się np. sprzedawca pizzy, strażak a nawet żebrak. Oczywiście, wszystko związane było z narodzinami Chrystusa, ale nie opowiadało samej historii, odnosiło się raczej do idei i przesłania, jakie niesie Boże Narodzenie.

Innym razem, inspiracją do przedstawienia stały się walentynki. To, popularne wówczas na zachodzie święto zakochanych, u nas zaczynało dopiero raczkować. W Polsce wciąż jeszcze „obowiązywał” Dzień Kobiet. Postanowiłam pokazać młodzieży, że miłość ma różne oblicza i nie musi być tematem tabu. Tak powstał spektakl pt. *„Miłość niejedno ma imię.”* Realizacja tego przedstawienia była możliwa dzięki wyjątkowej klasie, jaką wówczas prowadziłam.

Z tym wychowawstwem również wiąże się pewna historia.

Był rok 1999, reforma oświatowa zmieniała właśnie cały system edukacji. Wprowadzono gimnazja, a szkoły podstawowe miały kończyć się na klasie szóstej. Dlatego tamten rocznik ośmioklasistów był ostatnim, który uczył się według starego systemu. (Nikt wtedy nawet nie przypuszczał, że kilkanaście

lat później nastąpi kolejna reforma oświaty, która sprawi, że ósme klasy znowu wrócą do szkół podstawowych). Wówczas była to tzw. „*ostatnia ósma klasa*”.

Kiedy wróciłam do pracy po kilkumiesięcznej nieobecności, dostałam pod opiekę taką właśnie klasę - VIII a. Okazało się, że byłam ich trzecią wychowawczynią z kolei. Od czwartej do szóstej klasy prowadziła ich pani Agnieszka Skibińska, ale urodziła dziecko i odeszła na urlop wychowawczy. W siódmej klasie „przygarnęła” ich pani Anna Banach, mimo, że miała już jedno wychowawstwo, a do tego była wicedyrektorem szkoły. Bardzo się starała, jednak prowadzenie dwóch klas i praca na stanowisku zastępcy dyrektora, okazały się naprawdę wyczerpującym zajęciem. Nic więc dziwnego, że kiedy pojawiła się możliwość zmiany, pani Ania z ulgą oddała mi swoich podopiecznych. Pamiętam dzień rozpoczęcia roku szkolnego i nasze pierwsze spotkanie. Kiedy weszłam do sali, uczniowie patrzyli na mnie badawczo. Próbowali odgadnąć, co czeka ich tym razem. Ani oni, ani ja nie przypuszczaliśmy wtedy, jak szybko i jak bardzo się zaprzyjaźnimy.

Jak zawsze, zadecydował przypadek. Otóż, 18 września przypadała rocznica zestrzelenia samolotu amerykańskiego. Moja klasa dostała zadanie przygotowania apelu upamiętniającego to wydarzenie. Mieliśmy naprawdę mało czasu. Zastanawiałam się, co zrobić. Dopiero poznawałam moich uczniów, nie miałam pojęcia, co potrafią, czy mają jakieś zdolności artystyczne ani jak układa się ich współpraca. Byłam w kropce. Nie istniał żaden „gotowiec”, z którego mogłabym skorzystać, scenariusz uroczystości musiał dopiero powstać. Nie miałam nawet dekoracji, bo żadne kwiatki ani listki z innych apeli w ogóle tu nie pasowały. No i ten krótki termin… Los jednak postanowił mi pomóc. Zdarzyło się, że musiałam przekazać uczniom jakieś pilne ogłoszenie i weszłam do nich na lekcję. Chłopcy akurat mieli w-f. Kiedy zobaczyłam jak są wysocy, barczyści i sprawni - spłynęło na mnie natchnienie. Przecież możemy zrobić scenki z czasów wojny! Chłopaki doskonale nadają się na partyzantów, powstańców czy żołnierzy. Mój wzrok padł na liny zwisające z sufitu sali gimnastycznej, od razu skojarzyły mi się z lotnikami wyskakującymi z płonącego samolotu. Zapytałam Zbyszka Matfina (nauczyciela w-f) czy chłopcy potrafią wspiąć się pod sufit, chwilę tam powisieć, a potem zsunąć się powoli na dół. Zbyszek pokręcił głową i powiedział, że tylko kilku da radę. Ja na to, że wystarczy trzech. Nie tracąc czasu, wybrał pięciu kandydatów i podeszliśmy do lin. Wspięli się wszyscy, ale tylko trzech do samej góry. Miałam już gotowy plan. Podziękowałam im za wysiłek, Zbyszka przeprosiłam za najście i pobiegłam do biblioteki wybierać materiały do apelu. Następnego dnia przedstawiłam klasie plan operacji. Kiedy uczniowie usłyszeli, że nie muszą uczyć się na pamięć żadnych wierszy i piosenek, ani publicznie ich wygłaszać, od razu zaakceptowali mój pomysł. A koncepcja była bardzo prosta. Przedstawienie, które zatytułowaliśmy „*Nigdy więcej wojny*!” miało składać się z

szeregu scen ilustrujących okres wojny i okupacji. Pierwsza odsłona ukazywała rodziców, którzy 1 września 1939 roku prowadzili swoje dzieci do szkoły i na ulicy zaskakiwał ich nalot niemieckich samolotów, strzały i wybuchy bomb. Kolejna scena przedstawiała grupę polskich jeńców wojennych eskortowanych przez esesmanów. Później pokazaliśmy oddział partyzantów wracających z akcji dywersyjnej. Była też migawka z getta, no i w końcu Powstanie Warszawskie oraz zestrzeleni lotnicy amerykańscy. Tłem do wszystkich scen były znane piosenki powstańcze i partyzanckie. Mieliśmy również wspaniałe efekty dźwiękowe. Kilka wierszy posłużyło za komentarz tam, gdzie nie można było dać muzyki.

Problem dekoracji rozwiązałam bardzo prosto. Na godzinie wychowawczej uczniowie namalowali plakaty antywojenne, które powiesiliśmy na jednej

ścianie sali gimnastycznej. Na drugiej ścianie zawisły tablice z nazwami wszystkich konfliktów zbrojnych XX wieku i liczbą poległych ofiar. Większy problem mieliśmy z wrakiem samolotu i scenografią do scen partyzanckich i powstańczych. Ale i tu sobie poradziliśmy. Z dużych arkuszy grubej tektury wycięliśmy fragment odłamanego skrzydła i ogon samolotu, pomalowaliśmy srebrną farbą, wywierciliśmy ślady po kulach i wrak był gotowy. Leśną kryjówkę partyzantów zrobiliśmy z klasowych choinek używanych na Boże Narodzenie. Kilkanaście zielonych drzewek utworzyło gęsty las. Do tego dorzuciliśmy sztuczne ognisko wypożyczone z harcówki, jakiś pieniek, dwa kociołki i gotowe. Pani Krysia Kucharczyk dodała jeszcze grób partyzanta. Był to podłużny kopczyk usypany z szyszek uwieńczony brzozowym krzyżem. Wyglądał bardzo prawdziwie. Najtrudniej było z Powstaniem Warszawskim. Wymyśliłam, żeby zrobić z tektury ścianę płonącego domu ale był problem z przymocowaniem jej do drabinek. Rozwiązaniem okazała się duża drewniana drabina, która posłużyła za rusztowanie, do którego przyczepiono ceglany mur. Poprzeczna deska rozpierająca i usztywniająca konstrukcję okazała się solidnym podparciem i dzięki temu nasz dom miał okno, z którego potem zwisał „*zabity*" powstaniec. Ale najważniejszą częścią dekoracji była prawdziwa powstańcza barykada. To również było dzieło pani Krysi Kucharczyk. Nie wiem skąd wzięła te wszystkie graty – jakiś stary wózek, dziurawy materac, połamane meble. Po prostu, przyszłam do szkoły, a one już na mnie czekały. Muszę tu wyjaśnić, że w organizacji tych przedstawień zawsze pomagali mi inni nauczyciele i pracownicy szkoły. Nigdy nie robiłam tego wszystkiego sama. Nie potrafiłabym przekształcić zwykłej drabiny w solidne rusztowanie, nie wymyśliłabym grobu z szyszek, nie zrobiłabym barykady. Te rzeczy zawdzięczałam Krysi Kucharczyk. Inną osobą, która miała znaczący wkład w organizację tego apelu był pan Przemek Gnatowski, ówczesny nauczyciel muzyki. To on siedział przez kilka wieczorów i pracowicie nagrywał mi wszystkie potrzebne dźwięki - wybuchy bomb,

strzały karabinowe, ryk czołgowego silnika, wycie pikującego samolotu. On też przygotował nagrania wszystkich piosenek, wybierał konkretne fragmenty, odpowiednio ustawiał głośność i wyciszenia. Zdobył nawet archiwalne nagranie ogłaszanego alarmu lotniczego. Bez jego pracy nasz apel nie odniósłby takiego sukcesu.

A sukces był ogromny. Już sama scenografia robiła wrażenie, ale widzów zaskoczyło pojawienie się pierwszej grupy inscenizacyjnej. Spacerowym krokiem weszli moi uczniowie, prowadząc za ręce kilkoro maluchów („*wypożyczonych*" z pierwszej klasy). Nagle z głośników rozległ się głośny ryk pikującego samolotu i odgłos wybuchu bomby. Dźwięk był tak ostry i niespodziewany, że zatrzymali się zdezorientowani. Kiedy jednak zaterkotał karabin maszynowy, „*tatusiowie*" chwycili swoje pociechy na ręce i uciekli w popłochu, wybiegając z sali. Tego nikt z widzów się nie spodziewał. A kolejne sceny jeszcze potęgowały napięcie. Odpowiednie stroje, rekwizyty i efekty dźwiękowe powodowały, że to wszystko wyglądało bardzo realistycznie. Kiedy, przy słowach piosenki „*idą, idą leśni, kompas mają z gwiazd…*" pojawili się „*partyzanci*" wracający z akcji, widzowie zobaczyli, jak czterech chłopców niesie leżącego na kocu „*ciężko rannego*" z zakrwawioną głową. Obok nich szedł mój Pawełek (miał 2 metry wzrostu!) dźwigając przerzuconego przez ramię „*nieprzytomnego*" Roberta. Przeszli przez całą salę aż do leśnej kryjówki, gdzie rannymi natychmiast zajęły się sanitariuszki, bandażując ich obrażenia.

Takich realistycznie wyglądających scen było wiele. Sytuacja ciągle się zmieniała, a widzowie byli pod coraz większym wrażeniem. W krótkiej migawce z warszawskiego getta wystąpiła (zaproszona przeze mnie) uczennica klasy szóstej, która pięknie śpiewała. Jej rola była bardzo prosta. Wchodziła wolnym, zmęczonym krokiem, z pochyloną głową, owinięta w czarną chustę. Zatrzymywała się na chwilę, odwracała się przodem do widowni, unosiła głowę i zaczynała śpiewać: „*Warszawo ma, patrz, w oku mym łza, bo nie wiem czy jeszcze zobaczę cię znowu, Warszawo ma…"* Po czym milkła, znowu pochylała głowę, szczelniej owijała się chustą, odwracała się i odchodziła. Jej występ trwał może dwie minuty, ale zapadał głęboko w pamięć. Ogromne wrażenie robiły też scenki z Powstania Warszawskiego, a szczególnie pierwsza, kiedy przy dźwiękach piosenki „*Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój…*" wybiegała duża grupa młodych ludzi z biało-czerwonymi opaskami na rękach. Walczyli na barykadzie, ginęli, sanitariuszki opatrywały „*rannych*". W pewnym momencie pojawiał się mały „*powstaniec*" w zbyt dużym hełmie na dziecięcej głowie, machając niesionym meldunkiem. Prężył się na baczność salutując dowódcy, oddawał wiadomość, wyjmował z torby następny meldunek i biegł dalej. Wreszcie, następowała scena zestrzelenia samolotu. Moi chłopcy spisali się znakomicie. Przy dźwięku startującego samolotu sprawnie wspięli się na liny, przez długą chwilę tkwili pod sufitem w

bezruchu, a gdy miarowy warkot silnika zmienił się na wycie pikującej maszyny, powoli zaczęli się zsuwać, jakby opadali na spadochronach. Kiedy minęli już połowę liny, na scenę wychodził jeden z „*Niemców*" i puszczał serię z karabinu maszynowego. Na ten dźwięk, chłopcy puszczali liny i „*martwi*" spadali na ziemię, gdzie przez kilka minut leżeli zupełnie bez ruchu. Podnosili się dopiero wtedy, gdy na scenę wchodzili kolejno wszyscy „aktorzy", ustawiając się w zwartej grupie. Apel kończył się ich wspólnym okrzykiem „Nigdy więcej wojny!"

Długa, głośna owacja ich zaskoczyła. Nie spodziewali się takich braw. Spoglądali po sobie niepewnie. Nie wiedzieli czy mają się jeszcze raz się ukłonić, czy już zejść ze sceny. Stali trochę zagubieni, a oklaski wcale nie milkły. Wtedy do nich dotarło, że odnieśli wielki sukces. Z dnia na dzień stali się sławni. Wszyscy o nich mówili, dostali mnóstwo pochwał i gratulacji. Było to bardzo ważne, szczególnie dla nieco słabszych uczniów. Nikt nigdy nie doceniał ich trójek czy dwójek, a teraz zewsząd sypały się słowa uznania.

Powtarzaliśmy to przedstawienie dwukrotnie – raz dla Rodziców, którzy koniecznie chcieli obejrzeć swoje pociechy i drugi raz, kiedy wystąpiliśmy przed uczniami z sąsiednich szkół podstawowych – z Sadowej i Łomianek.

Kiedy emocje trochę opadły i wrzawa ucichła, na jednej z godzin wychowawczych miała miejsce taka rozmowa. Moje dzieciaki zapytały: „To co teraz będziemy robić?" Odpowiedziałam: „Jak to co? Uczyć się. Jesteście w ósmej klasie. Przed wami egzaminy do szkół średnich." Jęknęli zawiedzeni.

Ja jednak miałam dla nich coś w zanadrzu. Wymyśliłam bowiem, że na zakończenie szkoły zatańczą poloneza. W tamtych czasach był to taniec kojarzony głównie ze studniówką i maturą. W szkołach podstawowych nie było takiej tradycji. Moje dzieciaki były zaskoczone. „Mamy tańczyć? Poloneza?" zapytali niepewnie. „Tak, poloneza." potwierdziłam, po czym dodałam bezlitośnie: „I to z figurami."

Kiedy rozpoczęły się pierwsze próby i nauczyli się podstawowego kroku, nieraz widziałam jak w czasie przerw ćwiczą na korytarzu. Cieszyłam się, że ci zdolniejsi pomagają tym, których poczucie rytmu było mniejsze. Powoli przechodziliśmy do trudniejszych elementów…

Czułam jednak, że mają pewien niedosyt. Do występu na koniec roku było daleko, a oni chcieli odnieść kolejny sukces już teraz. Przekonałam się jak bardzo im na tym zależało, kiedy pewnego dnia, na początku listopada, jeden z moich uczniów przyniósł mi do biblioteki gruby plik kartek z pytaniem, czy mogę to przeczytać. Kiedy zapytałam, co to jest, niepewnie odpowiedział: „takie … jasełka." Przeczytałam. Okazało się, że jest to wspaniale napisana sztuka teatralna nawiązująca do tematu Bożego Narodzenia, z doskonałymi dialogami i świetnymi obserwacjami socjologicznymi. Zastanawiałam się kim jest

autor, ponieważ rękopis, który otrzymałam, aż roił się od błędów ortograficznych i stylistycznych. Okazało się, że napisał to młody chłopak, uczeń technikum, do którego chodził starszy brat mojego wychowanka. Uznałam, że coś tak ciekawego nie może się zmarnować, że warto pokazać to światu. Uzyskałam zgodę autora na wystawienie tej sztuki oraz na dokonanie niewielkich poprawek. Głównie chodziło mi o zakończenie, któremu brakowało wyrazistej puenty. Później cierpliwie przepisałam wszystko „na czysto". Poprawiłam wszystkie błędy i dopisałam kilka zdań na końcu.

Kiedy zaproponowałam moim uczniom wystawienie tej sztuki, bardzo się do tego zapalili. Uprzedziłam ich, że ten występ będzie wymagał znacznie więcej pracy, bo teraz będą musieli nauczyć się na pamięć sporych fragmentów tekstu i to pisanego prozą. Oni jednak wciąż byli chętni. Zgodziłam się więc, ale najpierw zawarłam z nimi pewien pakt. Musieli mi obiecać, że praca nad sztuką nie wpłynie ujemnie na ich naukę, że ich oceny się nie pogorszą. Przekonałam się, że to był dobry pomysł, kiedy na zebraniu Rodziców jedna z Mam zapytała mnie, co takiego zrobiłam, że jej syn nagle się uczy. Opowiedziała mi, jak któregoś dnia, weszła do jego pokoju, a on siedział nad książką! Zapytany, co go tak przypiliło, odpowiedział, że jutro ma klasówkę, a nie może podpaść pani Oli.

W taki sposób, w życiu mojej klasy nastąpił kolejny, bardzo pracowity okres. Znowu gonił nas czas, ponieważ wystawienie tego spektaklu miało sens tylko w okresie Bożego Narodzenia, a była już połowa listopada. Akcja sztuki rozpoczynała się w Niebie, gdzie nagle Bóg Ojciec buntował się i stanowczo zabraniał posyłać swojego Syna na ziemię. Twierdził, że nikt tam na Niego nie czeka, ludzie kładą Go do zimnego żłóbka, a On jest malutki i potrzebuje dużo ciepła i miłości. Anioły wpadały w panikę, wybuchała burzliwa dyskusja, aż w końcu Kreator podejmował się misji zejścia na ziemię, by udowodnić Panu Bogu, że miliony ludzi czekają tam na Chrystusa. Bóg Ojciec zupełnie w to nie wierzył, ale dał mu szansę, mówiąc, że pośle swojego Syna na ziemię, jeżeli Kreator znajdzie choć jedną ludzką duszę czekającą na Jezusa. Kreator usilnie starał się wypełnić misję, szukał wszędzie - w domach, w sklepie, na przystanku, w autobusie itp. Jednak zamiast miłości i zrozumienia spotykał tylko kłótnie, złość i nienawiść. Zrezygnowany, wracał do Nieba, przyznając Bogu rację, że trzeba odwołać Boże Narodzenie. Jednak, w ostatniej scenie, Bóg Ojciec schodził za ziemię i składał Jezuska w żłóbku, bo czekała na Niego jedna mała dziewczynka.

Ponieważ akcja sztuki działa się w bardzo wielu miejscach, zrobienie scenografii nastręczało wiele problemów. Trzeba było zrobić Niebo, sklep, przystanek autobusowy, pokój rodzinny i wiele innych rzeczy. Dla nas jednak nie było rzeczy niemożliwych. Największą atrakcją okazał się autobus. Nasza Ł-ka miała

prawdziwego kierowcę, pasażerowie mogli do niej wsiadać i wysiadać i do tego jechała! Słychać było warkot silnika a także syk otwieranych i zamykanych drzwi. Znowu, efekt końcowy zawdzięczaliśmy pracy wielu osób. Pomysł i realizacja jeżdżącego podwozia-platformy był dziełem nieocenionej pani Krysi Kucharczyk. Przemek Gnatowski i tym razem postarał się o doskonałe efekty dźwiękowe. Kiedy przyniósł mi nagranie, śmiał się, że ludzie na przystanku wzięli go chyba za wariata, bo jak przyjeżdżał autobus, to on do niego nie wsiadał, tylko kucał przy drzwiach z dyktafonem w ręku.

Moi uczniowie zagrali swoje role brawurowo. Doskonałe dialogi, różnorodność postaci, ciągłe zwroty akcji sprawiły, że tym spektaklem odnieśli kolejny, jeszcze większy sukces. A tym razem było trudniej, ponieważ mówili swoje kwestie stojąc tuż przed publicznością, a taka bliskość widzów potrafi bardzo zdeprymować. Oni jednak poradzili sobie fantastycznie. Na koniec znów były wielkie brawa, gratulacje i pochwały. Ten spektakl także musieliśmy powtarzać, bo chętnych do jego obejrzenia ciągle przybywało. W końcu odmówiłam kolejnego występu, bo dzieciaki traciły zbyt dużo czasu. W zamian zaproponowałam udostępnienie nagrania video.

Ten triumf dodał moim uczniom takich skrzydeł, że później zrobili jeszcze piękne przedstawienie z okazji walentynek, o którym wspomniałam już wcześniej. Spektakl *„Miłość niejedno ma imię…”* był rodzajem montażu poetycko-literackiego. Pokazywał różne aspekty miłości, od naukowej definicji tego rzeczownika, po dojrzałe uczucie wyrażone w wierszach wielkich poetów. Wykorzystaliśmy różne teksty: piosenki Czerwonych Gitar, wiersze Leśmiana i Gałczyńskiego. Nie zapomnieliśmy o miłości macierzyńskiej ani o tej nieszczęśliwej. Było i wesoło i lirycznie i łzawo. Zdarzały się też nieprzewidziane historie. W jednej z romantycznych scen, przy słowach wiersza Leśmiana *„Dziś, w naszego spotkania pierwszą rocznicę…”* był taki

moment, w którym bohaterka, grana przez Karolinę Czartoryską, zdmuchuje płomień świecy. Na próbach wszystko szło gładko. Nie wzięłam jednak pod

uwagę tego, że długie włosy Karoliny są zwykle związane w kucyk, a teraz miała je rozpuszczone. Kiedy pochyliła się nad świecą i dmuchnęła, płomień nie zgasł, a długie pasmo włosów niemal wpadło w ogień. Na szczęście, dziewczyna nie straciła zimnej krwi i szybko dmuchnęła ponownie, tym razem skutecznie. Ale obie najadłyśmy się strachu.

Jedna ze scen tego przedstawienia działa się w lokalu z dancingiem. Moje dzieciaki musiały nauczyć się tanga, ponieważ tłem muzycznym była piosenka *„To ostatnia niedziela."* Przy stoliku siedział mężczyzna i czekał na swoją ukochaną. Ona się spóźniała, on cierpliwie czekał. W końcu młoda kobieta przychodziła i siadała przy stoliku. Chwilę rozmawiali, a kiedy orkiestra zaczynała grać, wychodzili na parkiet i zaczynali tańczyć tango. W trakcie tańca kobieta niecierpliwie spoglądała na zegarek, w końcu zostawiała partnera na parkiecie, a sama pospiesznie wybiegała z sali. On, porzucony i samotny, wracał zrozpaczony do stolika. Tango najlepiej tańczył mój Darek Kaczor i to on właśnie zagrał tego mężczyznę, natomiast w rolę jego niewiernej partnerki wcieliła się Marta, uczennica równoległej klasy ósmej, która chodziła na kółko teatralne. Była to cicha i spokojna dziewczyna, typowa *„szara myszka"*. Nikt na nią nie zwracał uwagi. Podobnie jak Darek, miała talent do tańca i dlatego dostała tę rolę. Ani ona, ani ja nie przewidziałyśmy skutków tego wyboru. Kiedy Marta weszła na scenę, wszyscy oniemieli. Wyglądała pięknie: mini spódniczka, czarne rajstopy i pantofle na obcasie podkreślały jej figurę, a pełen makijaż i staranna fryzura dopełniały całości. Ale to ich taniec rzucił publiczność na kolana. Tańczyli to tango brawurowo, figury wykonywali perfekcyjnie i efektownie. Odnieśli ogromny sukces. W ciągu jednej minuty, szkolne życie Marty, zmieniło się diametralnie. Nagle stała się gwiazdą, zauważaną i podziwianą przez wszystkich, zarówno uczniów jak i nauczycieli.

Później, moi uczniowie wzięli jeszcze udział w przedstawieniu na Święto Szkoły. W pamięć zapadła mi inscenizacja wiersza M. Konopnickiej *„Muchy samochwały."* Poetka opisuje tam scenę z gospody u chomika, w której piją i rozrabiają muchy. Przechwalają się jedna przed drugą, jakie to są odważne i silne. W końcu giną w sieci podstępnego pająka. Chłopcy, wcielający się w rolę much, zagrali swoje role naprawdę świetnie. Doskonale oddali pijackie wrzaski i coraz bardziej nieskoordynowane ruchy. Ale największe wrażenie zrobił *„pająk"*. Była to jedna z moich dziewcząt, Martyna, która niepostrzeżenie wspięła się na drabinkę. W określonym momencie zrzuciła na *„muchy"* kawał siatki z boiska do siatkówki. *„Chomik"*, grany przez Pawła, pomógł jej ciaśniej oplątać zdobycz, a później wspólnymi siłami zabrali *„muchy"* ciągnąc siatkę z kolegami po podłodze. Było to bardzo widowiskowe.

Moje dzieciaki naprawdę pracowały na wysokich obrotach, podejmowały coraz to nowe wyzwania, nie zaniedbując przy tym nauki. No, i przez cały czas, uczyły się też poloneza…

Pewnego dnia, po zimowych feriach, kiedy byłam w bibliotece, przyszli do mnie uczniowie z tej drugiej ósmej klasy. Nieśmiało poprosili, że oni też chcieliby tańczyć tego poloneza. Przecież nie mogłam im odmówić. Tyle, że teraz musiałam opracować choreografię i przygotować występ dla grupy ponad 60 uczniów. To było prawdziwe wyzwanie. Pomógł mi fakt, że w poprzednim roku obie klasy miały tego samego wychowawcę (panią Anię Banach) i były już zżyte. Poza tym, byli bardzo chętni do nauki. Pracowicie ćwiczyli coraz trudniejsze figury. Oczywiście, nie wszyscy byli jednakowo zdolni. Wiedziałam też, że sala gimnastyczna nie pomieści tylu par na raz. Musiałam podzielić ich na mniejsze grupy i zrobić coś, żeby to nie było nudne. W efekcie zatańczyli trzy różne układy, do trzech różnych podkładów muzycznych.

Dodatkowa trudność polegała na tym, że w obu klasach chłopców było trochę mniej niż dziewcząt, co znaczyło, że niektórzy uczniowie musieli zatańczyć po kilka razy. Podziwiałam ich. Nie tylko bezbłędnie zapamiętali trzy różne choreografie (tańczone jedna po drugiej) ale, po odprowadzeniu pierwszej partnerki, biegiem pędzili korytarzem do drugiego wejścia na salę, gdzie czekała już następna koleżanka. Potem mieli dosłownie sekundę na włożenie marynarek, bo już zaczynał się trzeci polonez. Żaden z nich nigdy się nie pomylił.

Pierwszy, publiczny pokaz odbył się w naszej szkole, kiedy to właśnie polonezem otworzono karnawałowy bal najmłodszych klas. Była to prośba nauczycieli nauczania początkowego, którzy stwierdzili, że ich podopieczni nie będą mieli szans zobaczyć tego tańca na zakończenie roku, ponieważ uroczystości dla klas starszych i młodszych odbywały się osobno, w zupełnie innych godzinach. Moi uczniowie z dumą wystąpili przed swoimi młodszymi kolegami.

W styczniu 2000 roku, w Domu Kultury w Łomiankach, odbył się coroczny koncert Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. My także daliśmy coś z siebie. Zagraliśmy fragment naszych niezwykłych jasełek, a moi uczniowie odważyli się pokazać swojego poloneza. Ponieważ scena w Domu Kultury była dość mała, tańczyło tylko 12 osób. Tam, zdarzyła się zabawna historia. Wykonywali trudną figurę, polegającą na tym, że dziewczęta wchodziły do wnętrza koła, utworzonego przez chłopców, zmieniały kierunek tańca, by później, w odpowiedniej chwili odwrócić się, utworzyć duże koło i dalej już tańczyć parami. Pech chciał, że jedna z dziewcząt spóźniła swój obrót. Patrzyłam zza kulis, jak wpada w panikę, bliska płaczu, kiedy usłyszałam bardzo spokojny i wyraźny głos jej partnera: „Kaśka, tutaj.” Poszła za tym dźwiękiem jak po sznurku, by w ostatniej chwili trafić na odpowiednie miejsce. Na szczęście nikt z publiczności nie zauważył jej błędu, bo scena była wysoko i widzowie patrzyli z dołu. Widzieli głównie chłopców, których płynny i rytmiczny taniec skupił na sobie całą ich uwagę.

W końcu nadeszły te najważniejsze występy – bal ósmych klas na zakończenie szkoły oraz, kilka dni później, uroczystość zakończenia roku szkolnego.

Pierwszy polonez, którego tańczyli z nauczycielami i pracownikami szkoły, był dedykowany pedagogom. Układ był prosty i miał tylko dwie łatwe figury. Do niego wybrałam pieśń „Pożegnanie Ojczyzny” Michała Ogińskiego. Druga grupa, najliczniejsza, tańczyła już bardziej skomplikowaną choreografię, ze zmianą trzymania i kilkoma trudnymi figurami. Z głośników płynęła wtedy melodia „Poloneza Warszawskiego” autorstwa Tadeusza Sygietyńskiego. Ten taniec dedykowany był pracownikom szkoły. Ostatnia grupa, w której znaleźli się najzdolniejsi uczniowie, zatańczyła bardzo trudny układ z figurami, które zwykle wykonują tylko zawodowi tancerze. (wzorem dla mnie były nagrania z występów zespołu „Mazowsze”). Ten polonez dedykowany był Rodzicom, a uczniowie tańczyli do melodii z filmu „Pan Tadeusz” skomponowanej przez Wojciecha Kilara. Wykonali go perfekcyjnie. Skończyli równo z ostatnim taktem muzyki (co nie zdarzyło się nigdy wcześniej, na żadnej próbie!) a kiedy się ukłonili posypały się wielkie brawa. Miałam ogromną satysfakcję, kiedy patrzyłam na łzy wzruszenia i zachwyt w oczach Rodziców. Pamiętam, jak Mama jednej z

uczennic podeszła do mnie bardzo poruszona i powiedziała, że bardzo mi dziękuje za tę chwilę, bo to było tak, jakby widziała swoją córkę na studniówce. Muszę tu wyjaśnić, że ta dziewczynka uczyła się bardzo słabo i Rodzice zdawali sobie sprawę, że ich dziecko prawdopodobnie zakończy swoją edukację na szkole zawodowej.

Po czterech latach, kiedy moi wychowankowie byli już w maturalnych klasach i zaczął się okres studniówek, co parę dni wpadała do mnie jakaś grupka absolwentów z narzekaniami, że ich studniówkowy polonez był do niczego. Ciągle słyszałam: „Pani Olu, co to było! Podreptaliśmy w kółko po sali gimnastycznej, para w prawo, para w lewo, jakieś czwórki i to wszystko! Nawet porządnego ukłonu na koniec nie było!" wykrzykiwali wzburzeni. Na moje słowa, że przecież mogli pokazać kolegom to, co sami potrafią i nauczyć ich kilku figur, zwykle odpowiadali, że próbowali to zrobić. Jeden z chłopców, z oburzeniem w głosie powiedział, że kiedy pokazał swojej wychowawczyni kasetę video z naszego poloneza, stwierdziła, że to jest za trudne i nie będą się tego uczyć. Myślałam, że trochę przesadzają, ale wtedy przyszła do mnie pani Małgosia Kordek, nasza pani woźna, której syn był w najzdolniejszej grupie i tańczył ten najtrudniejszy, finałowy układ. Powiedziała, że była u syna na studniówce i widziała ich taniec. Pokręciła tylko głową i powiedziała: „pani Olu, ten ich polonez do tego naszego to w ogóle się nie umywał." Wtedy zrozumiałam, że dałam moim uczniom coś wyjątkowego.

Ten ich piękny polonez przeszedł do historii szkoły. Zapoczątkował tradycję, która trwa chyba do dziś.

Pożegnanie z moją *„ostatnią ósmą klasą”* też nie było typowe. Na uroczystość zakończenia szkoły, uczniowie i Rodzice zaprosili również panią Agnieszkę Skibińską, ich pierwszą wychowawczynię. Byłam szczęśliwa, że przyjechała, mimo że pracowała już w innej szkole. Obie odtańczyłyśmy pożegnalnego poloneza z naszymi uczniami i obie poszłyśmy później do klasy, żeby rozdać cenzurki i ostatecznie się z nimi pożegnać. Wszystko szło gładko. Po raz ostatni odczytywałyśmy listę obecności, na zmianę wręczając Świadectwa Ukończenia Szkoły Podstawowej już nie uczniom ale absolwentom szkoły. Były gratulacje, uściski, kwiaty. W końcu nadszedł moment, żeby powiedzieć im kilka ciepłych słów, podziękować za wspólnie spędzony czas, życzyć sukcesów w przyszłości i rozstać się. No i tu nastąpiła katastrofa. Spojrzałyśmy z Agnieszką na siebie z pytaniem w oczach, która ma zacząć. Ponieważ ona była naszym gościem, poprosiłam, żeby była pierwsza. Agnieszka rozpoczęła swoje wystąpienie. Była bardzo wzruszona, głos wyraźnie jej drżał, w oczach pojawiły się łzy. Powiedziała dosłownie dwa zdania i tak się z rozpłakała, że nie mogła wydobyć słowa. Próbowała się uspokoić, ale bez skutku. Gestem pokazała mi, żebym ja teraz mówiła. Wzięłam głęboki oddech, uśmiechnęłam się do moich wychowanków i zdołałam jedynie powiedzieć: „Kochani…”. Z wielkim trudem udało mi się jeszcze dodać dosłownie kilka słów. W końcu łzy tak ścisnęły mi gardło, że nie mogłam wydobyć głosu. Próbowałam się jakoś opanować, ale nic z tego. Bezradnie spojrzałam na Agnieszkę. Widziała, co się dzieje i dzielnie próbowała ratować sytuację. Udało jej się powiedzieć parę zdań, ale znowu emocje wzięły górę i ponownie się rozpłakała. Jeszcze trzy razy próbowałyśmy jednak coś powiedzieć, ale po kilku słowach, następowała katastrofa. W efekcie stałyśmy tam obie, szlochając jak bobry. Uczniowie patrzyli na nas z przerażeniem w oczach, nie wiedząc, co się dzieje. Dla ich ten dzień był przecież radosny, ukończyli szkołę i rozpoczynali wakacje! W końcu się poddałam. Bezradnie rozłożyłam ręce, wykrztusiłam chrapliwie tylko jedno słowo „żegnajcie” i gestem pokazałam im, że mogą już wychodzić. Kiedy wróciłam do domu, byłam tak zła na siebie, tak zawiedziona, że nie opanowałam emocji i nie potrafiłam porządnie pożegnać klasy, która dała mi tyle radości i satysfakcji. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś takiego. Zawsze rozstania z młodzieżą były pełne wzruszenia, często miałam łzy w oczach, ale żeby mnie aż tak zatkało, żebym nie potrafiła powiedzieć nawet zdania?! Nie mogłam sobie tego darować. Targana emocjami, podeszłam do biurka, wzięłam kartkę i zaczęłam pisać list. Przelałam na papier wszystko to, co było w moim sercu, co chciałam im powiedzieć. Teraz, bez trudu znajdowałam wszystkie właściwe słowa, płynęły jak rzeka… Kiedy skończyłam, przepisałam ten list na komputerze, wydrukowałam w 31 egzemplarzach, podpisałam, włożyłam do kopert, zaadresowałam i poszłam na pocztę. Kupiłam

znaczki, przykleiłam i wrzuciłam cały plik do skrzynki. Dopiero wtedy odetchnęłam. Jakiś czas później spotkałam na przystanku Mamę jednego z moich absolwentów. Podeszła do mnie z okrzykiem: „Pani Olu, jak Robert czytał ten list od pani, to wszyscy w domu się popłakali. Potem dzieciaki dzwoniły do siebie nawzajem i okazało się, że każdy taki ma. Pani jest niesamowita!" Wtedy poczułam ulgę, że tę moją wyjątkową, „*ostatnią ósmą klasę*" pożegnałam jednak tak, jak na to zasługiwali.

Praca z dziećmi i młodzieżą zawsze dostarczała mi wrażeń i to zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych. Zwykle miałam dobry kontakt z wychowankami, ale przecież szkoła to nie raj i nie wszyscy byli aniołkami. Zdarzali się uczniowie, do których trudno było dotrzeć, albo tacy, których zdyscyplinowanie stawało się prawdziwym wyzwaniem. Czasami ich nadpobudliwość wynikała z dysfunkcji, czasami z błędów wychowawczych popełnionych przez Rodziców (głównie brak konsekwencji). Tak czy inaczej, efekt był taki, że ich wybryki mogły świętego wyprowadzić z równowagi. Imałam się różnych sposobów, by dotrzeć do takiego urwisa ale czasem było to bardzo, bardzo trudne. Pamiętam jak kiedyś jeden z takich ancymonów kompletnie wyprowadził mnie z równowagi i krzyknęłam: „ja cię w końcu uduszę!" Spojrzał na mnie spode łba i powiedział: „to wsadzą panią do więzienia!". A ja mu na to: „zaryzykuję! Przynajmniej będę miała święty spokój!" Przez długą chwilę patrzył na mnie niepewnie, aż w końcu oznajmił: „to ja już będę grzeczny." Był to punkt zwrotny w naszych relacjach. Oczywiście, nie od razu zrobił się z niego aniołek (tak naprawdę nigdy się nie zrobił), ale jego zachowanie uległo znacznej poprawie. Zamiast dziesięciu wybryków w tygodniu, teraz zdarzały mu się ledwo trzy.

Były też inne sytuacje. Kiedyś trafił mi się uczeń, który był bardzo agresywny i złośliwy. Nie udało mi się ustalić przyczyn takiego zachowania. Uczył się dobrze, miał porządny dom i wsparcie Rodziców. Miał jednak podły charakter, często grał nieuczciwie i lubił znęcać się nad słabszymi. Nie było na niego sposobu. Nie pomagały żadne rozmowy, tłumaczenia i perswazje. Byłam naprawdę w kropce. Raz narozrabiał tak potężnie, że aż koledzy nie wytrzymali i zagrozili, że go stłuką (chodziło o honor klasy). Oczywiście zareagowałam natychmiast, mówiąc im, że tak nie wolno, że bicie niczego nie rozwiąże itp. Ale dostrzegłam w tym swoją szansę. Kiedy następnym razem mój łobuz znów zrobił coś nikczemnego, a do tego wykrzyczał mi triumfalnie w twarz: „pani i tak nic mi nie może zrobić! Nie może mnie pani uderzyć!", odpowiedziałam spokojnie: „nie mogę. I nie mam takiego zamiaru, ale spójrz na swoich kolegów (byli na niego wściekli). Wystarczy, że na chwilę wyjdę z klasy." Uśmiechnęłam się do niego i zapytałam: „mam wyjść?" Chłopak zbaraniał. Tego się nie spodziewał. Milczał przez długą chwilę, w końcu odpowiedział zduszonym głosem: „nie." Ta chwila uświadomiła mu, że nie jest tak całkiem bezkarny. Wiadomo, że nie zmienił się z dnia na dzień, miał jeszcze bardzo wiele „wpadek", ale przynajmniej nie przeciągał struny.

Czasami miałam też scysje z Rodzicami.

Pamiętam jedno z takich przykrych zdarzeń. Przechodziłam pustym korytarzem (trwały lekcje), kiedy zaczepił mnie dość wysoki i postawny mężczyzna. Zapytał: „paniusiu, gdzie tu jest świetlica?" Stanęłam jak wryta. Ten człowiek był kompletnie pijany! Ledwo trzymał się na nogach, a wódka śmierdziała od niego na kilometr. Ponieważ, zaskoczona, nic mu nie odpowiedziałam, wyjaśnił bełkocząc: „córkę mam odebrać." Na te słowa wstąpiła we mnie jakaś furia. Natychmiast wyobraziłam sobie, jakie upokorzenie przeżyje ta dziewczynka, kiedy wszyscy w świetlicy zobaczą jej tatusia. Nie wytrzymałam. Wrzasnęłam: „Dziecko pan przyszedł odebrać?! W takim stanie?! Jak pan śmie robić coś takiego własnej córce!" On próbował coś bełkotać, ale nie dałam mu dojść do głosu. Stałam tam i krzyczałam na niego tak głośno, że słychać mnie było chyba w Łomiankach. W końcu, już nieco ciszej, powiedziałam, żeby wrócił do domu i przysłał kogoś innego. Znowu zaczął coś bełkotać, ale powiedziałam ostro: „Marsz do domu i niech tu przyjdzie ktoś trzeźwy." Gestem pokazałam mu drzwi. Popatrzył na mnie dziwnie, odwrócił się i posłusznie poszedł do wyjścia. Kiedy moje emocje opadły, stwierdziłam, że mocno przeholowałam. Następnego dnia ten człowiek znowu przyszedł do szkoły (ja spodziewałam się raczej wizyty policji). Stanął przede mną z piękną różą w ręku i zaczął mnie przepraszać. Na moje słowa, że to ja powinnam go przeprosić, machnął tylko ręką. Popatrzył na mnie z szacunkiem i powiedział z uznaniem w głosie: „Jeszcze nigdy żadna baba tak mnie nie obsobaczyła." W jego ustach to chyba miał być komplement.

Było też inne zdarzenie. Moja klasa przygotowała jasełka i tego dnia miała występ. Pech chciał, że jeden z chłopców zapomniał o stroju (grał jednego z Trzech Króli). Zadzwoniłam do jego Mamy. Ona była akurat w pracy, ale powiedziała, że jej mąż jest teraz w domu, więc poprosi go, żeby zaraz ten strój przywiózł. Czas naglił, bo występ zaczynał się już niedługo. Wyszłam na korytarz i stanęłam blisko wejścia, żeby nie przegapić przyjazdu pana… (nazwijmy go Kowalskim). Nie czekałam długo, do szkoły wpadł zdyszany tatuś z „*królewskim płaszczem*" w ręku. Rozejrzał się nieprzytomnie i zapytał mnie: „gdzie znajdę V b?" Zamiast mu podziękować, spojrzałam na niego z politowaniem i powiedziałam: „Panie Kowalski, uprzejmie informuję, że pański syn jest już w VI b!" Zabrałam płaszcz i szybko pobiegłam do biblioteki.

Najmilszymi chwilami w życiu nauczyciela są te, gdy spotyka swoich wychowanków, kiedy ci są już absolwentami. Ja bardzo często miałam takie odwiedziny. Moi dawni uczniowie przybiegali do biblioteki, żeby pochwalić się sukcesami, pokazać nagrody jakie zdobyli, a czasami tylko po to, żeby zwyczajnie pogadać. Prawdziwy wysyp takich wizyt zdarzał się w okresie maturalnym, kiedy to z dumą prezentowali mi swoje świadectwa dojrzałości.

Czasami były to przypadkowe spotkania, gdzieś w autobusie, na przystanku w Warszawie itp. Pamiętam, jak kiedyś jechałam zatłoczonym tramwajem, gdy nagle usłyszałam okrzyk: „pani Ola!" Obejrzałam się i zobaczyłam dwóch wysokich młodzieńców z trudem przepychających się w moim kierunku. W pierwszej chwili nie poznałam ich, bo szkołę opuścili nieopierzeni nastolatkowie, a teraz stali przede mną dorośli, brodaci faceci. Jeden przez drugiego opowiadali mi co u nich słychać. Obaj skończyli studia, jeden był już żonaty. Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy rozstali się dopiero wczoraj.

Kiedy byłam już wicedyrektorem i siedziałam w swoim gabinecie, pani sekretarka powiedziała, że mam gościa. Podniosłam głowę i zobaczyłam młodego

mężczyznę w eleganckim garniturze, pod krawatem. Ukłonił się i podszedł do stolika, gdzie bez słowa położył swój neseser. „Sebastian Postek!" wykrzyknęłam ucieszona. Podeszłam bliżej i patrzyłam jak coś wyjmuje. Postawił przede mną jakąś statuetkę i powiedział: „to moja nagroda laureata Olimpiady Matematycznej", potem wyjął jakiś dokument i położył go ze słowami: „a to zaświadczenie, że bez egzaminu zostałem przyjęty na Politechnikę Warszawską". Po czym odwrócił się do drzwi, wyszedł na sekundę i za chwilkę usłyszałam: „a to jest moja dziewczyna.". Do dzisiaj uśmiecham się na to wspomnienie. Potem długo jeszcze rozmawialiśmy o jego planach i marzeniach.

Kilka razy odwiedził mnie też Maciek Kruszewicz, jeden z uczniów mojej *„ostatniej ósmej klasy".* Zawsze był bardzo zdolny i inteligentny. Ze średnią 5,5 został najlepszym absolwentem szkoły. On i Sebastian Postek zdobyli wówczas Nagrodę Burmistrza Łomianek. Wyjechali na wycieczkę zagraniczną, chyba do Francji. Wtedy Polska nie należała jeszcze do Unii Europejskiej i granice były zamknięte. Taki wyjazd był więc naprawdę sporą atrakcją. Ostatni raz Maciek przyjechał do mnie, kiedy był już na drugim czy trzecim roku studiów. Jak zawsze, trochę powspominaliśmy dawne czasy, pogadaliśmy o kolegach i koleżankach, z którymi miał kontakt, opowiedział mi o swoich planach. Kiedy się żegnał, powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę: „Pani Olu, miałem wielu nauczycieli, w różnych szkołach - w podstawówce, w liceum, na studiach, ale nigdzie nie spotkałem kogoś takiego jak pani. Była pani z nami tylko przez rok, ale dla mnie zawsze będzie pani tym najważniejszym wychowawcą, takim nauczycielem przez duże N." Były to najpiękniejsze słowa, jakie pedagog może usłyszeć.

Czasami jednak zdarzały się bardzo smutne odwiedziny. Miałam ucznia, którego los doświadczył naprawdę okrutnie. Była ich trójka, Piotrek i jego dwie siostry. Bardzo wcześnie stracili Ojca, a później, następnego dnia po komunii najmłodszej dziewczynki, zmarła nagle ich Mama. Groziło im pójście do domu dziecka, ale dziadkowie, mimo, że byli chorzy, podjęli się opieki nad nimi. Na wywiadówki do Piotrka zawsze przychodziła Babcia, bardzo serdeczna i ciepła kobieta. Piotrek ukończył szkołę podstawową i poszedł do szkoły średniej, był chyba już w drugiej klasie, kiedy pewnego dnia zjawił się w mojej bibliotece. Stanął przede mną i drewnianym głosem powiedział: „Babcia umarła." Krzyknęłam tylko: „O, Boże!" i wybiegłam zza kontuaru, żeby go jakoś pocieszyć. Objęłam go serdecznie, a on rozpłakał się wtedy jak dziecko. Bardzo długo szlochał z głową na moim ramieniu, wyrzucając cały swój ból, rozpacz i żal do losu. Potem rozmawialiśmy jeszcze chyba przez godzinę. Na szczęście, tym razem ani Piotrkowi, ani jego młodszej siostrze nie groziło pójście do domu dziecka, ponieważ ich starsza siostra była już wtedy pełnoletnia i jako rodzina zastępcza, mogła zostać ich opiekunką.

Piotrek nie był jedynym moim uczniem, którego los tak doświadczył. Pewnego dnia dotarła do mnie tragiczna wiadomość o śmierci Magdy Pacyny, jednej z czterech dziewczynek z mojej pierwszej klasy wychowawczej. Magda była już na studiach, miała 22 lata, kiedy przegrała walkę z rakiem. Pamiętam jej pogrzeb, przyszło mnóstwo ludzi, było morze kwiatów. Nie zwracałam jednak na nic uwagi, miałam przed oczami piękną, młodą dziewczynę, uśmiechniętą i radosną. Zawsze uczyła się na piątkach, była lubiana i koleżeńska. Myślałam z goryczą, dlaczego jej życie już się skończyło, chociaż tak naprawdę nawet się nie zaczęło. Bardzo przeżyłam jej stratę, czułam się tak, jakby chowano moje własne dziecko.

Później, jeszcze kilka razy śmierć zebrała swoje żniwo w naszej szkole.

Pamiętam, że zbliżał się koniec semestru, był to ostatni tydzień przed zimowymi feriami. Wychowawcy mieli pełne ręce roboty, przygotowując sprawozdania i klasyfikację. Jak zawsze, niektórzy uczniowie czekali na ostatnią chwilę, by wygrzebać się z zagrożeń lub poprawić oceny. Pani Helenka Lisińska była polonistką oraz wychowawczynią ósmej klasy. Chorowała na serce, miała nawet wszczepiony rozrusznik. W poniedziałek przyszła do szkoły mocno przeziębiona, była zakatarzona i kasłała. W następnych dniach było gorzej. Kiedy zapytałam ją, dlaczego nie pójdzie na zwolnienie, odpowiedziała, że nie może, przecież ma ósmą klasę, a oceny z półrocza są dla nich bardzo ważne. Dodała, że musi jeszcze zapytać paru uczniów, którzy chcą poprawić oceny. Wyglądała tak, jakby miała wysoka gorączkę, więc jeszcze raz zasugerowałam pójście do lekarza. Powiedziała, że bierze jakieś leki i że już zaraz będą ferie, to wtedy spokojnie zajmie się swoim zdrowiem. Oczywiście była jeszcze na radzie klasyfikacyjnej oraz na podsumowującej. Dotrwała do końca

tygodnia. Drugiego czy trzeciego dnia ferii zmarła na serce. Byliśmy w szoku. Nie mogłam sobie darować, że wtedy nie namówiłam jej na tego lekarza. Pogrzeb pani Helenki Lisińskiej był niezwykłym wydarzeniem. Kościół w Łomiankach (wtedy jeszcze Dziekanów nie był parafią) był wypełniony po brzegi, a wiele osób stało jeszcze na zewnątrz, mimo ostrego zimna. Kwiaty pokryły niemal całą posadzkę. Były uroczyste przemowy. Wcześniej, przed pogrzebem, ustaliliśmy, że ze strony szkoły pożegna Helenkę dyrekcja i nauczyciele. Miał też być sztandar i warta honorowa uczniów. Brakowało jednak jakiegoś wystąpienia ze strony młodzieży. Zadzwoniłam do jednego z moich uczniów z pytaniem czy da radę powiedzieć wiersz nad trumną pani Lisińskiej. Zgodził się. (Wybrałam utwór Z. Jerzyny pt. „*Nauczyciel”*) Poprosiłam też jedną dziewczynkę z klasy pani Helenki, żeby położyła na trumnie białą różę. Kiedy w kościele, już po uroczystych, podniosłych przemowach, wyszli oboje i stanęli przy trumnie pani Helenki i usłyszeliśmy słowa: „*ona mnie nauczyła pierwszych liter*…”, nie było chyba jednej osoby, która by nie płakała. To krótkie pożegnanie od uczniów było najbardziej wzruszające. Nie zapomnę tej chwili do końca życia.

Innym, bardzo wzruszającym pogrzebem, który zgromadził tłumy ludzi, było pożegnanie pani Ewy Józefowskiej Teterycz. Pracowała w naszej szkole wiele lat. Na początku uczyła języka polskiego, ale później stwierdziła, że dużo bardziej odpowiada jej wychowanie fizyczne, więc ostatecznie wybrała ten przedmiot. Była zawsze roześmiana, pełna życia, energia wprost ją rozpierała. Los jej nie oszczędzał, bardzo wcześnie straciła Mamę, a później wiele lat zmagała się z podstępną chorobą. Wydawało się, że wszystko jest już dobrze, wróciła do pracy, podjęła nowe wyzwanie obejmując stanowisko wicedyrektora, kiedy nagle nastąpił nawrót. W końcu przegrała tę walkę, chociaż nie poddawała się do ostatniej chwili. Odeszła tak, jak żyła – w biegu.

Zupełnie inaczej pożegnaliśmy panią Jagienkę Kędzierską. W naszej placówce pracowała jako pedagog szkolny, ale wcześniej, przez długi czas była dyrektorem Szkoły Podstawowej w Sadowej. Była już na emeryturze, kiedy rak ją pokonał. Została pochowana w Świdnicy, ponieważ tam mieszkała jej Rodzina, dlatego tutaj nie było pogrzebu. Mogliśmy tylko uczestniczyć w uroczystym pożegnaniu, po którym nastąpiła kremacja i przewiezienie urny z prochami na miejsce pochówku.

Wspomniałam już, że w roku 1999, na skutek reformy oświatowej, w budynku naszej szkoły pojawiło się gimnazjum. Na początku zmiana była właściwie niezauważalna. Klasy siódme nagle stały się klasami gimnazjalnymi, w pokoju nauczycielskim przybyło kilku nowych nauczycieli, a zaplecze jednej z pracowni na pierwszym piętrze zamieniono na gabinet pani Anny Kajszczak - dyrektora Gimnazjum Nr 2. I to było wszystko. W następnym roku w gimnazjum przybył kolejny rocznik uczniów. W szkole zrobiło się trochę ciaśniej, głównie dlatego, że wiele przedmiotów gimnazjalnych wymagało podziału

na grupy (jedna klasa zajmowała jednocześnie dwie sale lekcyjne). Nie narzekaliśmy jednak, bo wiedzieliśmy, że to tylko stan przejściowy, bowiem reforma zakładała, że gimnazja i szkoły podstawowe mają się mieścić w osobnych budynkach. W Łomiankach niedługo miała ruszyć budowa ICDS.

Niemniej jednak, już w tym czasie zaczęły się pierwsze, drobne konflikty i nieporozumienia. Przyczyny były różne: brak koordynacji działań, niemożność „rozdwojenia się" nauczycieli pracujących w obu szkołach, różne plany wyjazdów wycieczkowych i kłopoty z zastępstwami. Szczególnie dawało się to we znaki, kiedy coś działo się w obu szkołach jedocześnie. Na przykład w czerwcu, kiedy trzeba było przygotować uroczystość zakończenia roku dla trzech grup wiekowych, osobno dla klas 1-3, 4-6 i gimnazjum. Nagle okazywało się, że na salę gimnastyczną schodzą trzy różne klasy, bo wychowawcy na tę właśnie godzinę zaplanowali swoje próby. Oczywiście, powoli znajdowano rozwiązanie, np. wieszając w kanciapce wuefistów grafik zajęć na sali, gdzie trzeba było sobie „zarezerwować" daną godzinę. Trudniej było z wyjazdami na wycieczki i zastępstwami. Bywało tak, że np. nauczyciel gimnazjum miał wolną godzinę, ponieważ dana klasa była na wycieczce, ale nie mógł w tym czasie iść na zastępstwo do podstawówki, bo formalnie nie był tam zatrudniony.

W tym czasie, w Polsce nastąpił boom gospodarczy. Dziekanów Leśny również zaczął się gwałtownie rozwijać, nowe domy wyrastały jak grzyby po deszczu, liczba mieszkańców zaczęła szybko wzrastać. Do szkoły podstawowej przybywali nowi uczniowie, dla których trzeba było tworzyć nowe oddziały. Kiedy jeszcze do gimnazjum przyszedł kolejny rocznik, nagle zrobiło się bardzo ciasno. Wróciła druga zmiana, co szczególnie dotknęło uczniów klas młodszych. Konflikty zaczęły narastać. Istnienie dwóch, osobnych instytucji użytkujących jeden budynek, powodowało problemy, których w naszej szkole nigdy wcześniej nie było. Dotychczasowa jedność i solidarność, z której byliśmy tak dumni, nagle zaczęła pękać. Coraz częściej zaznaczał się podział na my i oni. Wspaniała, rodzinna atmosfera naszej szkoły odchodziła w przeszłość. Do tego, w 2003 roku, na emeryturę odeszła pani dyrektor Alina Majewska, osoba ciesząca się ogromnym autorytetem, która miała cudowny dar łagodzenia konfliktów. Poczuliśmy się osieroceni i porzuceni na pastwę losu, ponieważ konkurs na nowego dyrektora miał się odbyć dopiero w wakacje. No i na domiar złego, okazało się, że budowa ICDS w Łomiankach niczego u nas nie zmieni, bo nasze gimnazjum nie zostanie tam przeniesione. Byliśmy na siebie skazani.

Kiedy we wrześniu 2003 roku wróciliśmy do pracy, nasza sytuacja wciąż była niepewna. Okazało się, że wakacyjny konkurs nie został rozstrzygnięty, dlatego funkcję dyrektora naszej szkoły powierzono pani Hannie Matfin, która miała ją pełnić do czasu ogłoszenia i rozstrzygnięcia nowego konkursu. Z jednej

strony cieszyliśmy się, że dyrektorem jest ktoś dobrze nam znany, ale z drugiej strony wciąż byliśmy w stanie zawieszenia i pewnej tymczasowości. A problemów wciąż przybywało. Coraz bardziej uwidaczniała się konieczność lepszej koordynacji działań i wymiany informacji pomiędzy obiema szkołami. Najgorsza była jednak ciasnota. W bibliotece czułam ją na własnej skórze. Co z tego, że gimnazjum miało dodatkowe pół etatu bibliotekarza, kiedy nie przybyło ani pół półki na nowe książki. Gdzie miałyśmy pomieścić gimnazjalne lektury, których liczba wzrastała z każdym rokiem. Upychałyśmy je, gdzie się da, ale przecież nasza i tak mała biblioteka nie była z gumy, a widoków na nowe pomieszczenie nie było żadnych.

Władze gminy także widziały problemy naszych placówek. Do tego, sytuacja kadrowo-administracyjna w obu szkołach była dość skomplikowana. W zasadzie gmina powinna ogłosić dwa konkury na dyrektora. Jeden dla podstawówki (i to jeszcze przed końcem roku szkolnego 2003/2004) i drugi w wakacje, dla gimnazjum, ponieważ kadencja pani Kajszczak właśnie się kończyła. O ile rozstrzygnięcie tych dwóch konkursów rozwiązywałoby sprawy kadrowe, o tyle problem spójnego administrowania budynkiem pozostawał nierozwiązany. Zdecydowano się na zupełnie inne wyjście. Postanowiono połączyć obie szkoły i utworzyć Zespół Szkół w Dziekanowie Leśnym. Ogłoszono więc, że w wakacje odbędzie się tylko jeden konkurs - na dyrektora zespołu szkół. Tak też się stało i 1 września 2004 roku staliśmy się Zespołem Szkół w Dziekanowie Leśnym, a naszym wspólnym dyrektorem została pani Anna Kajszczak, która wygrała konkurs.

Wtedy nawet nie przypuszczałam, że ta decyzja władz gminy wywróci moje życie zawodowe do góry nogami.

Na krótko przed końcem wakacji, zadzwonił mój telefon. Zdziwiło mnie, że rozmówcą jest pani Anna Kajszczak. Zastanawiałam się jaką może mieć do mnie sprawę. Do dziś dokładnie pamiętam, co wtedy powiedziała. „Pani Olu, nie będę niczego owijać w bawełnę. Chcę, żeby została pani moim zastępcą.” Ja, niebotycznie zdumiona odpowiedziałam: „Zwariowała pani?!” Na to pani Kajszczak spokojnym głosem powiedziała” „Nie, nie zwariowałam i ponawiam moją propozycję.” Później oczywiście rozmawiałyśmy dalej. Ja mówiłam o swoich obawach, że się na tym nie znam, że jestem zbyt impulsywna, że mam dominujący charakter itp. Pani Kajszczak, zbijała moje obiekcje jedną po drugiej. W końcu stanęło na tym, że poprosiłam o czas do namysłu. Chciałam się z tym wszystkim trochę oswoić, porozmawiać z mężem, podyskutować o skutkach takiej decyzji. Kiedy później spotkałam się z panią Kajszczak, powiedziałam, że podejmę się tego zadania, ale poprosiłam, żeby na razie było to tylko na rok. Chciałam, żeby każda z nas miała szansę na ewentualne wycofanie się z tej współpracy, gdyby coś poszło nie tak. Pani Anna Kajszczak zgodziła się na takie rozwiązanie i w ten sposób, w 2004 roku, zostałam wicedyrektorem Zespołu Szkół w Dziekanowie Leśnym.

Początki nie były łatwe. Zmieniła się struktura organizacyjna szkoły, utworzono nowe stanowisko kierownika administracyjnego, którym został pan Zbigniew Szymański. W efekcie zespołem szkół zarządzały trzy osoby: pani Anna Kajszczak, ja i pan Zbyszek. Pani dyrektor odpowiadała za całość oraz prowadziła gimnazjum, ja zajęłam się głównie szkołą podstawową i to tylko od strony dydaktycznej, natomiast pan Zbyszek dbał o sprawy administracyjno-techniczne. Tak prosto wyglądało to tylko w założeniach i na papierze. Rzeczywistość była taka, że pierwszego września 2004 roku spotkały się trzy osoby, które nigdy wcześniej nie współpracowały ze sobą, a dwie z nich (pan Zbyszek i ja) dopiero uczyły się tego jak być kierownikiem czy wicedyrektorem. Musieliśmy najpierw dobrze się poznać, ustalić zasady współpracy oraz podzielić zakres obowiązków. Nie było to łatwe, bo trzeba było uwzględnić wiele różnych czynników. Z jednej strony nie mogliśmy wchodzić sobie w drogę, ale z drugiej strony żaden element *„układanki”* nie mógł pozostać bezpański. Naprawdę czekał nas trudny i pracowity okres.

Pierwszym moim zaskoczeniem była sprawa gabinetu wicedyrektora. Byłam pewna, że pani Kajszczak przeniesie się do dużego i przestronnego gabinetu

dyrektora szkoły podstawowej, a ja będę urzędowała w jej poprzednim lokum, które było znacznie mniejsze i skromniejsze. Nie wzięłam pod uwagę jej charakteru i zamiłowania do prostoty. Okazało się, że to ja mam zająć okazały gabinet z dużym sekretariatem, a pani Kajszczak pozostanie w swojej klitce. Próbowałam ją przekonać, że to niestosowne, że to ona powinna urzędować w reprezentacyjnym pomieszczeniu ze względu na prestiż stanowiska, gości itp. Pani Kajszczak machnęła na to ręką, powiedziała, że już raz przenosiła swój gabinet z piętra na parter i drugi raz nie ma zamiaru tego przechodzić. Na tym stanęło.

Ponieważ mój nowy gabinet był przystosowany dla dwóch osób (poprzednio urzędował w nim dyrektor i wicedyrektor szkoły podstawowej) wydawało się logiczne, że teraz drugie biurko zajmie pan Zbyszek Szymański. Tak też się stało. Jednak już po krótkim czasie okazało się, że taki układ nie jest wygodny, ponieważ kierownik administracyjny nie był pracownikiem pedagogicznym. Nie mógł więc uczestniczyć w poufnych rozmowach dotyczących spraw uczniów. W efekcie było tak, że kiedy trzeba było porozmawiać z jakimś dzieckiem lub Rodzicem, on musiał wyjść z pokoju. Pan Zbyszek był osobą bardzo taktowną i miał ogromne wyczucie, ale nie mógł przecież ciągle opuszczać gabinetu, szczególnie jak był jakiś problem techniczny albo na przykład ustalał coś z panami dozorcami. Trzeba było znaleźć jakieś rozwiązanie. W efekcie wyremontowano małe pomieszczenie, które stało się królestwem pana Zbyszka. Gabinet był bardzo ciasny, mieściły się tam tylko trzy regały, biurko i stoliczek, ale pan kierownik mógł urzędować tam samodzielnie. Pan Zbyszek

Szymański pracował u nas długi czas i wiele serca włożył w to, żeby wszystko w budynku działało bezawaryjnie. Był człowiekiem bardzo uczynnym i pracowitym. Wszyscy go lubili i szanowali. Niestety, nagle zachorował i w krótkim czasie choroba go pokonała. W jego pogrzebie uczestniczyli niemal wszyscy pracownicy obsługi praz wielu nauczycieli. W kościele były sztandary obu szkół, w pocztach nie stali jednak uczniowie, ale pracownicy administracyjni i nauczyciele. Nagła śmierć pana Zbyszka pozostawiła w nas wielka pustkę.

Zostałam sama, w wielkim gabinecie z mnóstwem dokumentów, i papierami, które zalewały mnie na bieżąco. Próbowałam to jakoś ogarnąć, ale początki były bardzo trudne. Pani Kajszczak cierpliwie uczyła mnie, jak być dyrektorem, udzielała mi wszelkiej pomocy, ale przecież nie mogłam biegać do niej z każdym drobiazgiem. Musiałam się jakoś usamodzielnić i jakoś ją odciążyć, bo na początku wszystko spadło na nią. Uczciwie przyznam, że poległabym już w pierwszym miesiącu, gdyby nieoceniona pomoc pani Ewy Cieślińskiej, ówczesnej sekretarki od wielu lat pracującej w naszej Szkole Podstawowej.

Pani Ewa była i jest chodzącą kopalnią wiedzy i kompetencji. Na temat szkoły wie wszystko, a do tego jest osobą wyjątkowo delikatną i taktowną. Dziś się przyjaźnimy, ale wówczas, prawie 20 lat temu, dopiero się poznawałyśmy.

Pamiętam sytuacje z początków mojego urzędowania. Kiedy do gabinetu wchodził jakiś nauczyciel i pytał mnie o przepisy lub prosił o inny dokument (naiwnie myśląc, że wiem gdzie co leży!), a ja wpadałam w lekką panikę, nieoceniona pani Ewa podchodziła do konkretnego regału, bezbłędnie wyciągała odpowiedni segregator i kładła mi na biurko ze słowami: „już podaję, pani dyrektor.” Jej obecność trzymała mnie przy życiu, szczególnie w tym pierwszym okresie. Oczywiście, powoli się wszystkiego uczyłam i już po jakimś czasie sama wiedziałam, gdzie co się znajduje i jak mam z tego korzystać. Jednakże świadomość, że jest obok mnie ktoś, kto w każdej chwili może mi pomóc, w dużej mierze łagodziła mój stres. Przez 10 lat mojej pracy na stanowisku wicedyrektora nigdy, absolutnie nigdy nie zawiodłam się na pani Ewie. Do tego jej wiedza nie ograniczała się do spraw ściśle administracyjnych, ona potrafiła wszystko! Znała się na finansach i księgowości, samodzielnie redagowała wszelkie pisma i prowadziła korespondencję. Ja właściwie dałam jej tylko jedno, przekonałam ją do pracy na komputerze i pomogłam w opanowaniu obsługi tego, wówczas nowego, urządzenia.

Kiedy minął ten pierwszy rok, na który umówiłyśmy się z panią Kajszczak, okazało się, że jakoś do siebie pasujemy. Jej spokój i rozwaga równoważyły moją impulsywność, potrafiła moje szalone pomysły, włożyć w ramy rozsądku i okazało się, że zaczynam sobie radzić jako wicedyrektor. Ponowiła swoją dawną propozycję i tak dostałam powołanie na kolejne 4 lata, czyli do końca pierwszej kadencji, później na kolejne 5 lat. W sumie, w gabinecie wicedyrektora spędziłam 10 lat.

Praca dyrektora znacznie różniła się od tego, co robiłam wcześniej jako nauczyciel. Nadal uczyłam języka angielskiego, ale było to tylko kilka godzin w

tygodniu. Bardzo starałam się dać uczniom jak najwięcej, ale powoli docierało do mnie, że ilość czasu, jaką mogę im poświęcić jest bardzo mała. Wychowawstwo, które dawało mi tyle satysfakcji, w ogóle nie wchodziło w grę. Zadania dyrektora tak mnie pochłaniały, że na nic innego nie miałam już siły. Te pierwsze lata były bardzo intensywne. Bywało tak, że wychodziłam ze szkoły późnym wieczorem. Kiedyś mój mąż się zbuntował i żartobliwie mi zagroził, że o 22-ej zamknie drzwi na zasuwkę. Pamiętam, że raz weszłam do domu, wołając: „jest dopiero za pięć!" (Była godzina 21[55]).

A w szkole działo się coraz więcej. Był to okres reform oświatowych. Szkoły nie zdążyły wdrożyć jednej zmiany, a już przychodziła następna. Największą rewolucję wprowadziły egzaminy zewnętrzne i to zarówno w szkole podstawowej jak i w gimnazjum. Do tej pory uczeń ósmej klasy dostawał na koniec roku świadectwo ukończenia szkoły i już. Teraz okazało się, że uzyskanie pozytywnych ocen nie wystarczy, uczeń musi jeszcze przystąpić do egzaminu. W naszej placówce był to koszmar organizacyjny. Przede wszystkim, egzaminy odbywały się w różnych terminach, innych dla podstawówki, innych dla gimnazjum. Do tego różniły się długością trwania (w gimnazjum były to trzy kolejne dni tygodnia, w szkole podstawowej tylko jeden dzień). Jeżeli uczeń, z jakiś względów nie mógł tego dnia przystąpić do egzaminu, organizowano dla niego dodatkowy egzamin, w terminie rezerwowym. Dyrektor musiał zapewnić swoim wychowankom odpowiednie warunki, powołać komisje itp. Rozwiązanie dla szkół podstawowych było proste, klasy szóste przychodzą tego dnia na egzamin, reszta uczniów ma ustawowo dzień wolny, pracuje tylko świetlica. Ale nie u nas. Co z tego, że klas 1-5 nie było tego dnia w szkole, kiedy wszystkie klasy gimnazjalne musiały mieć zajęcia. Tu sprawę udawało się rozwiązać dość prosto, gimnazjaliści wyjeżdżali tego dnia do kina, albo muzeum i było po kłopocie. Ale zupełnie innym problemem były trzy dni egzaminów gimnazjalnych. Wówczas, wolne mieli uczniowie klas 1-2 gimnazjum, ale do szkoły przychodziło kilkanaście oddziałów podstawówki! A przepis stanowił,

że w czasie egzaminu w placówce nie może być osób postronnych! Imaliśmy się przeróżnych sposobów. Najbardziej skutecznym rozwiązaniem był jednoczesny wyjazd wszystkich klas 4-6 na kilkudniowe wycieczki dokładnie w terminie egzaminów. Ale nie rozwiązywało to problemu klas 1-3, bo te dzieci nie mogły wyjeżdżać na tak długo. Pamiętam, że organizacja egzaminów była dla pani Kajszczak i dla mnie nie lada wyzwaniem. Pocieszało nas jedno, że wyniki uzyskiwane przez naszych uczniów, świadczą o dobrej jakości nauczania. Średnie egzaminów w szkole podstawowej były naprawdę wysokie. Z reguły zajmowaliśmy pierwsze miejsce w gminie, byliśmy znacznie powyżej średniej powiatowej, wojewódzkiej i krajowej. Podobnie było w gimnazjum.

Miało to swoje dobre i złe strony. Cieszyło nas, że znajdujemy się wysoko w rankingu szkół, ale konsekwencje były takie, że nagle do naszej placówki napływało tyle podań o przyjęcie, że zamiast dwóch równoległych klas (na tyle był przewidziany budynek szkoły) należałoby utworzyć cztery. A przecież i tak pracowaliśmy już na dwie zmiany! Czasem z bólem serca musiałyśmy odsyłać kandydatów, nawet tych z czerwonym paskiem na świadectwie. Do tego, Dziekanów Leśny i okoliczne miejscowości prężnie się rozwijały i wciąż przybywało nam dzieci z rejonu, które musiały być przyjęte. Liczba oddziałów szkolnych, szczególnie w klasach 1-3, rosła błyskawicznie. A budynek jakoś nie chciał się rozciągnąć. Zapadła decyzja o kolejnej rozbudowie. Do tego weszły nowe przepisy dotyczące konieczności przystosowania szkół dla osób niepełnosprawnych ruchowo, trzeba więc było zmodyfikować wejścia, zrobić podjazdy, zainstalować windę i przerobić szatnię. Miałyśmy z panią Kajszczak dwa wyjścia: zamknąć szkołę na czas remontu lub prowadzić zajęcia w warunkach budowy. Zamknięcie szkoły nie wchodziło w grę, bo przecież uczniowie musieli chodzić do szkoły, a nie było gdzie ich przenieść. Dlatego podjęłyśmy kolejne wyzwanie.

Problemów i trudności było co niemiara, musiałyśmy naprawdę dobrze się nagłowić, żeby je rozwiązać, ale kilka pomysłów było naprawdę nietypowych.

Pamiętam okres, kiedy przebudowywano szatnię i trzeba było wylać nową posadzkę. Kłopot polegał na tym, że na tym samym poziomie, co szatnia, były sale oddziałów przedszkolnych. Wejście do zerówek prowadziło przez ten korytarz, innej drogi nie było. Propozycje rozwiązania tego problemu były różne. Pamiętam, że już nawet myślałyśmy o położeniu drewnianego mostka, jak nad rzeką. Później przyszło nam do głowy, żeby jedno z okien przerobić na drzwi balkonowe i wpuszczać dzieci tylko z zewnątrz. Wszystkie te rozwiązania miały jednak jakieś mankamenty, przeważnie problem stanowiły dodatkowe koszty, bo budżet był nieco skąpy. W końcu, już zupełnie zrezygnowana, pomyślałam, że najlepiej byłoby te zerówki wysłać na księżyc, gdzie nie ma żadnej budowy, a dzieci miałyby przestrzeń i spokój. I tu spłynęło na mnie natchnienie. Księżyc jest daleko ale przecież blisko szkoły, po drugiej

stronie ulicy, jest Instytut Ekologii PAN. Może mają tam jakieś wolne sale i zdołają przygarnąć nasze dzieciaki na miesiąc lub dwa? Rozmowa z dyrekcją Instytutu była bardzo krótka i owocna. Bez żadnego problemu zaoferowali nam (bezpłatnie!) kilka sal i jeszcze przepraszali, że nie mają odpowiedniego wyposażenia! Skończyło się na tym, że nasze maluchy, zamiast kurzu i hałasu z budowy, miały sielskie warunki, ciszę i spokój. Rodzice przywozili swoje pociechy pod szkołę, skąd spacerkiem, pod opieką swoich pań, maszerowały do Instytutu Ekologii. Miały tam być przez krótki czas, ale w końcu zostały na cały semestr.

Większym wyzwaniem stała się dla nas nadbudowa piętra w tzw. starej szkole (tej, w której zaczęłam pracę w roku 1990). Trzeba było wyłączyć z użytkowania całe skrzydło szkoły. Co oznaczało, że klasy 1-3 nie mają się gdzie podziać. Wprowadzenie trzeciej zmiany nie wchodziło w grę, ponieważ małe dzieci nie mogły przez kilka godzin siedzieć w ławkach przystosowanych dla nastolatków i odwrotnie. Instytut Ekologii nie miał tyle miejsca, z chęcią mógł przygarnąć zerówkę, ale nie sześć oddziałów. Tym razem miałyśmy już jednak doświadczenie. Poszłyśmy utartym szlakiem. Trzeba tutaj dodać, że Dziekanów Leśny był już wtedy parafią. Mieliśmy kościół i plebanię. Pewnego dnia tam właśnie udałyśmy się z wizytą. Ówczesny proboszcz, ksiądz Dariusz Kosk, wcześniej pracował w naszej szkole jako katecheta, dlatego dobrze się znaliśmy. Rozmowa przeszła nasze oczekiwania, ksiądz Darek zgodził się od razu, oprowadził nas po plebanii, pokazując sale jakie ma do dyspozycji. Zapytałyśmy wtedy o łazienki. To też była bardzo ważna sprawa, bo nie mogło być np. jednej toalety na tyle dzieciaków, ale ksiądz Darek powiedział, że jest ich kilka. Zaproponował też, że w takim wewnętrznym korytarzu, można przymocować wieszaki i zrobić szatnię. Był naprawdę bardzo otwarty i kreatywny. Omówiliśmy wszystkie szczegóły. My, ze swojej strony zapewniłyśmy, że szkoła pokryje rachunki za media, bo wiadomo było, że przy takiej ilości dzieci, zużycie wody, prądu i gazu będzie większe. Kiedy zapytałyśmy o koszty wynajmu, spotkała nas miła niespodzianka. Ksiądz Darek powiedział, że nie weźmie od nas ani grosza. W ten sposób, nasze maluchy sukcesywnie przechodziły na plebanię, najpierw były tam tylko trzy oddziały, na jedną zmianę, później, wszystkie klasy 1-3 urzędowały właśnie tam, chodząc na dwie zmiany. Było im tak dobrze, że potem nie chciały wracać. Rodzice żartowali, że już z tam zostaną.

Zmieniały się nie tylko sale lekcyjne, modernizowane były także inne pomieszczenia. Pokój nauczycielski wyposażono w szafki dla nauczycieli, pracownicy obsługi dorobili się wreszcie pokoju socjalnego. Mój gabinet także wymagał zmian. Okazało się, że dotychczasowe meble, chociaż jeszcze w dobrym stanie, nie pasują do nowej rzeczywistości. Głównie brakowało biurka do komputera i stołu konferencyjnego. Miałam, co prawda, niską ławę i dwa fotele, ale było to doskonałe miejsce do rozmowy dla dwóch osób. Jak przyszedł ktoś więcej, trzeba było dostawiać krzesełka i robił się kłopot, szczególnie wtedy,

gdy gość chciał wypić kawę czy herbatę. Muszę tutaj dodać, że tym gabinecie była mała wnęka z umywalką. Jeszcze za czasów pani Majewskiej, pan Stasio Wiśniewski, nasz woźny (stolarz z zawodu), zrobił tam drewnianą ściankę z przesuwanymi drzwiami. Było to doskonale rozwiązanie, bo po wstawieniu szafki zrobił się bardzo wygodny kącik kuchenny. Pod ręką były filiżanki, kawa, herbata, a nawet jakieś drobne ciasteczka. Czajnik elektryczny dopełniał całości. W gabinecie pani Kajszczak nie było takich luksusów, dlatego większość gości była zapraszana do mnie. (Zmuszało mnie to tego, żebym zawsze miała porządek!) Także u mnie odbywały się różne inne rozmowy, szczególnie te delikatne, bo atmosfera była bardziej sprzyjająca. Ale, tak jak wspomniałam, kiedy potrzebne było spotkanie w większym gronie, stolik był za mały. Trzeba było kupić nowe meble.

Drugą kadencję wicedyrektora pełniłam już w nowym wnętrzu. Miałam nawet szafę na ubranie. Dwa biurka umożliwiły wygospodarowanie krzesełka dla „petenta" a stół konferencyjny pozwalał na prowadzenie rozmów w szerszym gronie. Moje stare meble wcale się nie zmarnowały. Ponieważ były w dobrym stanie, zastąpiły dotychczasową zbieraninę w sekretariacie, część przeniesiono do innych pomieszczeń. Gabinet nie tylko stał się bardziej funkcjonalny, ale i ładniejszy. Pamiętam, jak kiedyś był u nas Zastępca Burmistrza i roześmiał się, że mój gabinet jest znacznie większy i bardziej reprezentacyjny, niż jego. To była prawda, bo rzeczywiście urzędował wtedy w małym i zagraconym pomieszczeniu. Wielu naszych gości zachwycało się wystrojem, często słyszałam zdanie: „ojej, jak tu ładnie." Nawet drobiazgi przykuwały uwagę. Kiedyś nasza szkoła dostała wizerunek Matki Boskiej wykonany z nici. Była to naprawdę piękna rzecz, dzieło pensjonariuszy domu opieki, z którymi nasza szkoła utrzymywała kontakt. Pamiętam, że kiedy był u nas z wizytą kardynał Kazimierz Nycz, podziwiał ten obrazek przez bardzo długą chwilę.

Obie kadencje mojego urzędowania na stanowisku wicedyrektora bardzo się różniły. Pierwsza była czasem nauki i zbierania doświadczeń. Po dwóch latach stwierdziłam, że przyda mi trochę więcej wiedzy z zakresu zarządzania i administracji, dlatego poszłam na kurs kwalifikacyjny „zarządzanie oświatą." To była bardzo dobra decyzja, nauczyłam się tam wielu rzeczy, które później znacznie ułatwiły mi pracę. Przyspieszyły mój rozwój i zwiększyły kompetencje. Mogłam wreszcie odciążyć nieco panią Kajszczak. Na przykład byłam już w stanie samodzielne opracować sprawozdanie na radę podsumowującą (zwykle zajmuje to kilka dni). Ania musiała je tylko sprawdzić. To oszczędzało jej mnóstwo czasu. Później wystarczało, że tylko się z tym zapoznała. Powoli mogłam zająć się prowadzeniem szkoły podstawowej.

Druga kadencja była już inna. Miałam wiedzę i doświadczenie. Kiedy nauczyciel przychodził do mnie z jakąś sprawą, nie wpadałam w panikę, jak pierwszego dnia, a pani Ewa nie musiała już podawać mi segregatora. Nadzorowałam pracę podległych mi nauczycieli, spośród których wielu było bardzo młodych, często była to ich pierwsza praca. Kiedyś pomyślałam, że tak jak wcześniej byłam wychowawcą dla moich uczniów, tak teraz te same emocje przeniosłam na moich stażystów. Udzielałam rad, pomagałam, rozwiązywałam problemy. To też był rodzaj pracy pedagogicznej, chociaż w innym wymiarze. Ale sukcesy moich nauczycieli, zdobywanie przez nich kolejnych stopni awansu zawodowego, napawały mnie taką samą dumą, jak kiedyś osiągnięcia moich uczniów. Pamiętam taką sytuację. Siedziałam wtedy w gabinecie i kolejno, jedna po drugiej, przyszło do mnie chyba pięć osób. Każdy miał jakąś inną sprawę i każdy oczekiwał, że będę umiała mu pomóc. Kiedy już wszyscy poszli i zostałam sama, popatrzyłam na siebie, siedzącą w gabinecie, który wcześniej zajmowała pani Alina Majewska i uzmysłowiłam sobie, jaką długą drogę przebyłam, jak życie zatoczyło pełne koło. Kiedyś to ja przybiegałam do pani Majewskiej z różnymi sprawami wierząc, że mi pomoże albo chociaż podpowie jakieś rozwiązanie. (Nigdy się na niej nie zawiodłam). Teraz, to do mnie przybiegają młodzi stażyści, a ja nie mogę ich zawieść. Westchnęłam i powiedziałam sama do siebie: „no właśnie, nie możesz ich zawieść, więc nie filozofuj, tylko bierz się do roboty” i otworzyłam kolejny dziennik do sprawdzenia…

Moje pożegnanie ze szkołą nastąpiło po 28 latach pracy. Zwyczajnie przeszłam na emeryturę. Były ciepłe słowa uznania i podziękowania ze strony nauczycieli i pracowników szkoły. Były kwiaty i piękny, pamiątkowy upominek. Później była jeszcze uroczystość w ICDS, gdzie dostałam podziękowanie od władz gminy. Czułam się spełniona i szczęśliwa, że dołożyłam swoją cegiełkę w rozwój naszej szkoły i naszej małej ojczyzny.

Historia Szkoły Podstawowej im. Marii Konopnickiej to nie budynki czy boisko. Jej legendę i siłę tworzą ludzie. To oni zostawiają w jej murach swoje serca, emocje i przeżycia, oddają skrawek własnego życia. Cieszę się, że i ja mogłam być częścią tej historii.

---Janusz Kuźnieców

nauczyciel historii od 1984 roku

Garść wspomnień z Dziekanowa Leśnego

Pracę w szkole w Dziekanowie rozpocząłem w roku szkolnym 1984/85. Przez pierwsze 2-3 tygodnie z powodu remontu części sal lekcyjnych duża liczba zajęć odbywała się na korytarzach. Były tak wąskie, że nie mieściły się na nich stoliki, tak więc uczniowie siedząc na krzesłach trzymali zeszyty i książki na kolanach. Z tego powodu, że byłem początkującym nauczycielem, właśnie na moje lekcje najczęściej pozostawał korytarz.

Budynek szkolny był mały, tylko 8 sal lekcyjnych i mała, niepełnowymiarowa sala gimnastyczna, a klas było 17. Lekcje odbywały się na dwie pełne zmiany. W pierwszym roku mojej pracy miałem tak ułożony plan, że ucząc tylko w klasach 6-8 aż trzy razy w tygodniu kończyłem lekcje po godzinie 17. Prowadzenie lekcji w klasie ósmej tak aby utrzymać dyscyplinę i jeszcze czegoś nauczyć w okolicach godziny 16-17 wymagało od nauczyciela postawy wręcz heroicznej. Do dziś nie wiem, jak to przetrwałem.

Jedna z sal lekcyjnych znajdowała się na poziomie piwnicy więc zawsze panował tam półmrok i stale trzeba było palić światło. Ponadto wejście do tej sali było osobno z zewnątrz więc idąc do niej na lekcje uczniowie z nauczycielem musieli wyjść głównym wyjściem z budynku szkolnego i przejść kilkanaście metrów aby dostać się do tej sali. Gdy padał deszcz lub gdy zimą był mróz nikomu nie chciało się biec do szatni i zakładać ciepłych kurtek, wszyscy przechodzili do tej sali w lekkich ubraniach. Mimo to nie było jakichś dużych ilości zachorowań, zaziębień lub infekcji.

Nie było pracowni historycznej, mapy znajdowały się w pokoju nauczycielskim, atlasy w mojej szafce a stojak na mapy w sali geograficznej. Miałem lekcje w różnych salach więc sporo musiałem nabiegać się po szkole żeby to wszystko zebrać. Potem z mapą, stojakiem, atlasami i wskaźnikiem do map chodziłem do różnych sal. Problem był wtedy, gdy miałem dyżur na przerwie, wówczas na punktualne zaczęcie lekcji nie miałem żadnej szansy. Na szczęście uczniowie chętnie zgłaszali się do pomocy w przenoszeniu tych sprzętów.

Pokój nauczycielski urządzony był w dawnym zapleczu sali biologicznej. Było to małe, wąskie pomieszczenie, w którym mieściły się dwa małe stoliki, kilka krzeseł, regał z szafkami nauczycielskimi i półkami na dzienniki, wieszak na ubrania i stojak z mapami historycznymi. Na przerwach w pokoju część nauczycieli mogło usiąść, ale część musiała stać. Przechodząc przez pokój trzeba było się nieźle przeciskać.

Sekretariat szkoły znajdował się w tym samym pomieszczeniu co biblioteka, a całe to pomieszczenie nie było większe niż pokój nauczycielski.

Toalety były zarówno na zewnątrz szkoły (drewniane tzw. wychodki) jak i wewnątrz budynku. Tych w budynku było niewiele (po jednej dla dziewcząt i chłopców na piętrze) więc uczniowie nierzadko musieli wychodzić na zewnątrz. W późniejszych latach toalety zewnętrzne zostały zlikwidowane.

W szkole nie było stołówki ani sklepiku więc uczniowie aby kupić coś do jedzenia na przerwach biegali na drugą stronę ulicy M. Konopnickiej do sklepu „na Graniczce".

Ogromna większość uczniów docierała do szkoły pieszo, rowerem lub autobusem linii 701, podwożenie dzieci autem przez rodziców zdarzało się bardzo rzadko.

W całej szkole był tylko jeden telefon w gabinecie dyrektorskim. Na dodatek był to telefon, który miał połącznie tylko z centralą w urzędzie w Łomiankach. Aby zadzwonić np. do Warszawy trzeba było najpierw zadzwonić do centrali w Łomiankach, zamówić połączenie z Warszawą, potem poczekać od kilku minut do nieraz godziny aż pani z centrali oddzwoniła z informacją że jest wolna linia do Warszawy i dopiero wtedy się dzwoniło.

W szkole nie było żadnych komputerów, drukarek, kserokopiarek, tablic multimedialnych, nawet zwykłych telewizorów. Przygotowanie sobie pomocy dydaktycznych przez nauczycieli wymagało naprawdę dużej pracy i kreatywności. Pierwsze dwa magnetowidy na kasety video VHS z telewizorami pojawiły się pod koniec lat 80-tych. Zresztą i tak nie nacieszyliśmy się nimi zbyt długo, bo po kilku tygodniach doszło nocą do włamania w szkole, w wyniku którego obydwa magnetowidy zostały ukradzione. Na nowy musieliśmy czekać kolejne kilka tygodni.

Inaczej niż dziś wyglądało organizowanie wycieczek szkolnych. Nie było wyspecjalizowanych biur podróży, które wszystko załatwiały. Nauczyciel musiał sam zamówić noclegi, posiłki, wstępy do zwiedzanych obiektów, przewodników i środki transportu. Zamawiane na wycieczki autokary były na ogół stare i mocno zużyte, bo najczęściej tylko takimi dysponowali wówczas prywatni przewoźnicy. Raz przy okazji kilkudniowej wycieczki zdarzyło się, że autokar podjechał po uczniów pod szkołę ale już nie był w stanie ruszyć, bo przytrafiła się awaria. Został odholowany traktorem a uczestnicy wycieczki czekali kilka godzin na podstawienie drugiego. O kontroli autobusu i kierowcy przez policję nikt wówczas nawet nie słyszał.

Janusz Kuźnieców

Rok 1988. Klasa Va. W pierwszym rzędzie, czwarta od lewej Ewa Wieczorek (uczyła w klasach I-III a w tym roku również języka polskiego w klasie V. Obok wychowawca, Janusz Kuźnieców

Maj 1988 – klasa Va. Z lewej stoją: nauczyciel matematyki Zbigniew Granica, dyrektor szkoły Alicja Grąbczewska, nauczyciel w-fu oraz nauczyciel historii Janusz Kuźnieców

Maj 1988 r. Klasa VIa oraz nauczyciel historii, Janusz Kużnieców, dyr. Alicja Grąbczewska oraz stojący po prawej nauczyciel języka rosyjskiego p. Rybak

26 czerwca 1992 r. Klasa VIIIa (ta sama co na poprzednich zdjęciach jako Va). W pierwszym rzędzie, od lewej siedzą nauczyciele: pierwsza to nauczycielka biologii Hanna Faszcza, piąta od lewej nauczycielka techniki i plastyki Agnieszka Skibińska, obok dyr. Alina Majewska i nauczyciel w-fu Zbigniew Matfin. W drugim rzędzie, pierwszy od lewej nauczyciel muzyki Przemysław Gnatowski, obok sekretarz szkoły Ewa Cieślińska. Piwrwsza od prawej nauczycielka języka polskiego Anna Gradomska.

---Ewa Cieślińska

pracuje w sekretariacie od 32 lat

Moje wspomnienia

Moje pierwsze zetknięcie z naszą szkołą to styczeń 1984r. Rozpoczęłam wtedy pracę jako sekretarka i to był pierwszy etap mojej nowej drogi zawodowej po przeprowadzeniu się do Łomianek z Warszawy w 1981r. Zaczęłam wówczas poznawać środowisko oświaty niejako od wewnątrz, już nie jako uczennica, czy rodzic. A niektórzy nauczyciele z tamtego czasu pracują do dziś w naszej szkole – Małgosia Dołgało i Janusz Kuźnieców.

Nie popracowałam długo w szkole w Dziekanowie Leśnym, bo od 1 września 1984 zostałam przeniesiona do nowo tworzonego Inspektoratu Oświaty i Wychowania w Łomiankach. Ale widać było mi przeznaczone wrócić i ten powrót do Dziekanowa stał się faktem 1 września 1990r, już w wolnej Polsce. Ten drugi etap mojej pracy w naszej szkole, jako sekretarza szkoły, trwa do dziś, bez przerwy.

W ciągu tych ponad trzydziestu lat bardzo wiele wydarzeń, które zmieniały rzeczywistość szkolną, miało miejsce.

Pierwsze lata przyniosły inną organizację pracy. Powstał Samorząd Gminny, który stał się dla szkół właścicielem i zarządcą. Kuratoria Oświaty były oczywiście, ale tak jak to pamiętam, jakby w tle. Pierwszy, bardzo widoczny efekt tej zmiany to bardzo znaczące zmniejszenie biurokracji i tworzenia „papierków".

A przede wszystkim zaistniały sprzyjające warunki do poprawy całej sfery materialnej, co zaowocowało kontynuacją rozpoczętej i wstrzymanej jeszcze w końcówce lat 80-tych rozbudowy naszej szkoły. A było to po prostu konieczne. Nasza szkoła była przepełniona. 8 klasowa szkoła, po dwa oddziały w każdym roczniku, a w porywach po trzy, plus klasa zerowa musiało się zmieścić w (tak zwanym starym) budynku, jednopiętrowym z 6 klasami i małą salą gimnastyczną, bez porządnych szatni, z malutkim pokojem nauczycielskim i kawałkiem korytarza oddzielonym drewnianym przepierzeniem jako sekretariatem na piętrze, oraz pokojem dyrektora i prowizorycznym gabinetem pielęgniarskim i równie prowizoryczną biblioteką na parterze. Nic dziwnego, że praca odbywała się na dwie, a nawet na dwie i pół zmiany, a w ostatnim okresie (2 lata) przed zakończeniem budowy zajęcia kończyły się po godz. 18.00.

Piszę o tym etapie, bo fakt oddania do użytku nowej szkoły stał się dla nas wydarzeniem głównym w latach dziewięćdziesiątych. Przeprowadzka do nowych klas i ich urządzanie – to stworzyło nową przestrzeń współpracy wszystkich zatrudnionych w szkole, rodziców oraz dzieci.

To wspomnienie, jeżeli chodzi o tamte lata, jest we mnie najsilniejsze. Naprawdę nie liczyliśmy godzin, praca trwała często do późna – godzina 21.00 – 22.00. I przebiegała w dobrej, a nawet w bardzo dobrej atmosferze.

Potem nadeszły inne ważne wydarzenia, które zmieniały rzeczywistość szkolną. Najbardziej istotnym była reforma systemu szkolnictwa w Polsce i utworzenie gimnazjów (1999 r) Pamiętam, z jaką obawą przyjmowaliśmy fakt, że w naszej szkole miało z nami razem funkcjonować gimnazjum. Ile było zapytań, jak niechętnie jednak chcieliśmy się podzielić przestrzenią, klasami, przyjąć do siebie zupełnie nowych, nieznanych sąsiadów. Nastąpiły lata trudnej czasami koegzystencji, zawierane były nowe znajomości z koleżankami i kolegami z gimnazjum, może o tyle trochę łatwiejsze, że niektórych przedmiotów, jak polski czy matematyka, uczyli nauczyciele z podstawówki łącząc pracę w dwóch szkołach.

W kolejnym etapie utworzony został z naszych dwóch szkół Zespół, co o tyle zmieniło sposób funkcjonowania, że już nie dwóch dyrektorów musiało się dogadywać. Od 2004 roku była jedna pani dyrektor i jej zastępczyni. Czy tak było lepiej ? Nikt nas nie pytał, czy chcemy takiej zmiany, a więc trzeba było przyjąć co los niesie. Ale daliśmy radę i wspólna praca trwała przynosząc nam satysfakcję.

Ten stan prawny istniał do roku 2017, kiedy to postanowiono zlikwidować gimnazja i przywrócić ośmioletnie szkoły podstawowe. To już była wręcz rewolucja. A rewolucje raczej nie są przyjemne. Ostatni okres tej poprzedniej rzeczywistości z mojego punktu widzenia, jako pracownika administracji, był również naznaczony zmianą warunków pracy w wyniku likwidacji stanowisk i w efekcie zwolnienia 3 koleżanek, które pełniły bardzo potrzebne funkcje kadrowej, głównej księgowej i kierownika administracyjnego.

Nastąpiły również w tym okresie bardzo bolesne wydarzenia. W 2019 roku, po ciężkiej chorobie odeszła nasza wieloletnia koleżanka, Ewa, pełniąca od 3 lat funkcję zastępcy dyrektora, a parę lat wcześniej zmarł kolega, który dbał o zaopatrzenie i utrzymanie szkoły w dobrym stanie.

Jednak życie musi toczyć się dalej.

Odejście na emeryturę długoletniej Dyrektorki, p. Anny Kajszczak otworzyło zupełnie nowy etap.

Następny, młody i pełen energii Pan Dyrektor tworzy już inną szkołę, bardzo kolorową, coraz lepiej wyposażoną, nowoczesną i dynamiczną oraz przyjazną dla dzieci, rodziców i nas, pracowników. Kontynuuje też, bardzo ważną i będącą jednym z głównych kierunków działania poprzednich dyrektorek, pracę z dziećmi wymagającymi specjalnych działań edukacyjnych i wychowawczych. Właśnie te działania powodowały i powodują, że nasza szkoła wyróżnia się na tle innych szkół. Takie doświadczenie mam z lat poprzednich i obecnie na podstawie pytań rodziców i znajomych o szkołę i możliwości zapisania do nas swojego dziecka.

A jednak i w tym czasie (ostatnie prawie już cztery lata) nie brakowało dramatycznych wydarzeń i zmian, które wywarły i wywierają ogromny wpływ na naszą społeczność szkolną – pandemia Covid 19 i wojna w Ukrainie. W czasie pandemii trzeba było nauczyć się nowych metod nauczania i współżycia, co wymusiło zamknięcie szkół i zdalne nauczanie, a wojna przyniosła nam nowych uczniów i spotkanie z ich rodzicami, którzy musieli uciekać z ogarniętych wojną ich domów w Ukrainie. Rzeczywistość trudna do wyobrażenia i znana nam tak naprawdę do tej pory tylko z literatury lub reportaży z odległych stron.

I tak minęły 32 lata mojej pracy w naszej szkole. Ogólne wrażenie?

Mimo różnych, często dramatycznych i czasami niesympatycznych wydarzeń, jednak obraz, jaki mi się maluje przed oczami jest pogodny i pozytywny. Zawarte zostały przyjaźnie, panowała i panuje dobra atmosfera i dobre wzajemne stosunki, mimo dzielących nas poglądów i przyzwyczajeń. Nie było u nas, przynajmniej ja się z tym nie zetknęłam, wielkich kłótni, nienawiści, dokuczania i czy wręcz celowego szkodzenia sobie, intryg. Potrafiliśmy i potrafimy, mam nadzieję, rozwiązywać problemy z szacunkiem do drugiego człowieka.

I jako społeczność, w tym obecnym świecie, gdzie czas tak szybko pędzi, gdzie słowo „zmiana” może być jego ilustracją, zdajemy egzamin na wysoką ocenę.

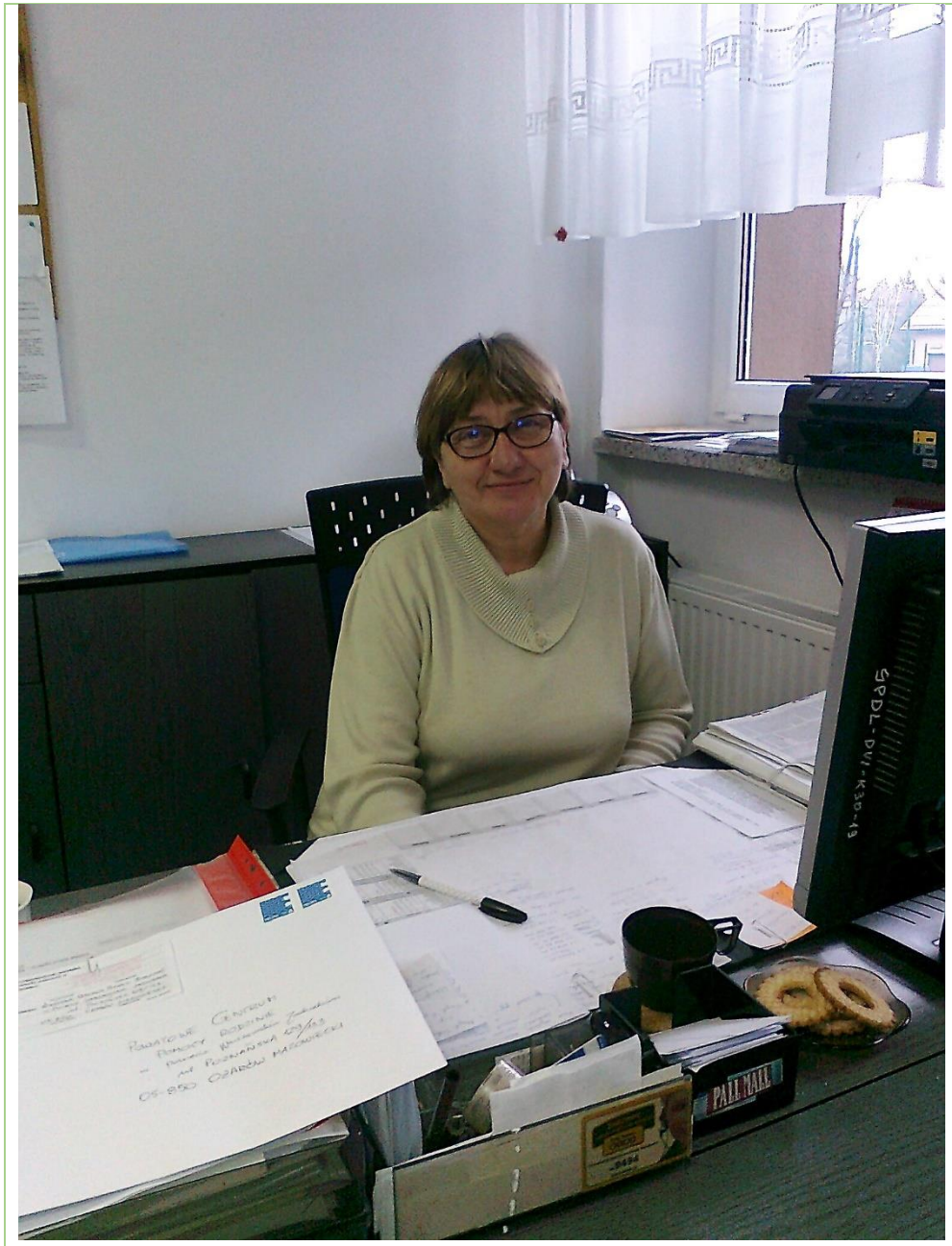

19 lutego 2015 r.: w sekretariacie szkoły

Rok 1999, z wicedyrektor Anną Banach i dyrektor Aliną Majewską

Rok 1999: przed szkołą

21 czerwca 2000 r.

---Harcerstwo

Moja przygoda z harcerstwem

Moja przygoda z harcerstwem rozpoczęła się wiele lat temu, a dokładnie w 1963 r. kiedy jako uczennica pierwszej klasy Szkoły Podstawowej w Dziekanowie Leśnym wstąpiłam do tej organizacji. W tym czasie większość uczniów należała do harcerstwa.

Najpiękniejsze harcerskie wspomnienia pochodzą z lat 1978 – 1988, z czasów gdy pełniłam funkcję komendantki Hufca Łomianki i jednocześnie byłam instruktorem Szczepu Harcerskiego im. Zawiszy Czarnego działającego przy Szkole w Dziekanowie Lęśnym. Oprócz codziennej pracy i zabawy z dziećmi, biwaków, obozów i rajdów, akcje „Harcerski Gaj" i „ Mała Olimpiada Harcerska im. Janusza Kusocińskiego" zapadły na długie lata w mojej pamięci, i mam nadzieję, również ówczesnych zuchów i harcerzy.

Harcerski Gaj

Z kroniki harcerskiej:

> *Pomysł zasadzenia „Harcerskiego Gaju" zrodził się na marcowej Radzie Szczepu w 1979 r. Postanowiliśmy w kwietniu – Miesiącu Pamięci Narodowej, a jednocześnie w Międzynarodowym Roku Dziecka uczcić pamięć rówieśników, którzy stracili życie w II Wojnie Światowej. Chcieliśmy to zrobić w sposób oryginalny i tak powstała idea żywego pomnika – „Harcerskiego Gaju". Wszystkim zuchom i harcerzom bardzo się to spodobało. Nasz „Gaj" miał liczyć 2000 drzew i o tyle sadzonek, i tak mały teren zwróciliśmy się do dyrekcji Kampinoskiego Parku Narodowego. Był koniec marca 1979 r. Niestety nasza akcja napotkała przeszkodę nie do pokonania, a była to tegoroczna kapryśna aura. Najpierw leżał śnieg, a potem cała Puszcza Kampinoska znalazła się pod wodą. Mimo, że teren mieliśmy wyznaczony, a sadzonki zamówione - musieliśmy czekać. Przeszedł kwiecień, a „Harcerski Gaj" był wciąż tylko naszym pomysłem. W końcu w maju można było nareszcie wejść w kaloszach na teren przyszłego „Gaju". Wtedy nasza akcja potoczyła się jak lawina. Pierwszego dnia posadziliśmy 1500 sadzonek, a chętnych harcerzy, zuchów i dzieci niezorganizowanych do sadzenia było jeszcze bardzo wielu. W drugim dniu sadzenia rosło w „Harcerskim Gaju" już 5000 dębów, a chętni do sadzenia wciąż byli. Trzeci dzień zamknęliśmy liczbą 9000 drzew, a czwartego dnia w naszym „Gaju" szumiało 12000 dębów. W tym ostatnim dniu gościliśmy redaktora „Świata Młodych". Razem z nami pracowali również leśnicy, którzy kierowali pracą harcerzy. To dzięki nim możemy naszą akcję uznać za udaną. Dużą pomoc okazały nam też Mazowieckie Zakłady Przemysłu Drzewnego w Łomiankach, które wykonały i ustawiły przy naszym „Harcerskim Gaju" tablicę pamiątkową.*
>
> *Uroczyste zakończenie naszej akcji odbyło się 11 maja 1979 r. Cały Szczep im. Zawiszy Czarnego w odświętnej gali wraz z zaproszonymi sąsiednimi szczepami z Łomianek i Dziekanowa Polskiego oraz uczniami naszej szkoły udał się na polankę przy tablicy upamiętniającej naszą akcję. W uroczystości brali udział przedstawiciele Gminy, zakładów pracy, szkół, Kampinoskiego Parku Narodowego i Komendy Chorągwi Stołecznej ZHP. Po uroczystej zbiórce zaproszeni goście zasadzili obok tablicy dwie symboliczne jarzębiny. Następnie najmłodsi uczestnicy sadzenia zakopali butelkę z meldunkiem o zakończeniu naszej akcji.*

Tak zostało to opisane 44 lata temu w kronice harcerskiej. Ja najbardziej pamiętam nasze przemarsze ze szkoły w Dziekanowie do Sadowej. Każdego dnia dołączało do nas więcej chętnych dzieci. Nie wszystkie należały do harcerstwa, ale bardzo chciały nam pomóc. Przechodząc ul. Miłą czuliśmy się jak na pochodzie, bo ludzie wyglądali z domów żeby nas pozdrowić i życzyć dobrej pracy, a my maszerowaliśmy dumni, wyposażeni w saperki i szpadle. Nikomu nie przeszkadzała ciężka praca. Byliśmy pewni, że robimy coś naprawdę ważnego.

Mała Olimpiada Harcerska im. Janusza Kusocińskiego

Z kroniki harcerskiej z 1979 r.:

> *W roku przedolimpijskim harcerze i zuchy naszego Szczepu postanowili sprawdzić swe wyniki sportowe na Małej Olimpiadzie Harcerskiej. Na patrona naszej Olimpiady wybraliśmy Janusza Kusocińskiego. Ogień do podpalenia znicza olimpijskiego przeniosła sztafeta harcerzy z grobu Janusza Kusocińskiego w Palmirach. W czasie zmagań powiewała na maszcie szkolnym flaga olimpijska. Nasze zawody miały obsadę „międzynarodową", gdyż zaprosiliśmy do udziału reprezentacje sąsiednich Szczepów Harcerskich. Wielką pomoc okazali harcerzom rodzice, którzy pełnili funkcję sędziów i dbali o bezpieczeństwo.*

To krótka notatka z kroniki. Nie sposób w niej było opisać tego co działo się tuż przed rozpoczęciem i podczas zawodów. Pomysł zrodził się wśród instruktorów harcerskich z Dziekanowa Leśnego i spotkał się z ogromnym poparciem dyrektora szkoły i rodziców. Wszyscy chętnie włączyli się do pomocy. Szkoła przez dwa dni, a właściwie i noce była do naszej dyspozycji. Trzeba było wszystko zaplanować i przygotować: konkurencje sportowe, miejsce do ich rozgrywania i całą dokumentację. Nie było wtedy specjalnego boiska. Bieżnią do biegu na 60 m była wygrabiona piaszczysta alejka przy boisku szkolnym, a sztafeta 4x60 m odbyła się na drodze do szkoły (to była trochę wyboista polna droga, ale nikomu to nie przeszkadzało). Linie do pchnięcia kulą wysypywaliśmy wapnem na trawie, a sześciometrową flagę olimpijską nocą malowaliśmy na podłodze w sali gimnastycznej.

Dla maluchów trzeba było przygotować oddzielne konkurencje. Nie starczyło miejsca na terenie szkoły, zrobiliśmy je na tzw. parkingu w Puszczy Kampinoskiej. Brały w nich udział wszystkie dzieci młodsze, a więc dorosłych opiekunów i sędziów trzeba było wielu. Najwięcej pracy miały nauczycielki klas I-III.

Jak olimpiada to i znicz olimpijski. Od leśniczego dostaliśmy żerdzie sosnowe i zbudowaliśmy rusztowanie, na którym stanął „pożyczony" spod pomnika na cmentarzu metalowy znicz. Mieszanka ropy z trocinami i ogień olimpijski płonął przez cały dzień (podczas następnych olimpiad przez kilka dni w moim domu nie można było wejść na strych, bo drewniane schody zamontowane były przy podeście na znicz).

Bardzo chcieliśmy żeby nasza olimpiada wzorowała się na tej prawdziwej, więc „ogień olimpijski" powinna przynieść sztafeta. „ Olimpem" stał się dla nas grób Janusza Kusocińskiego znajdujący się na cmentarzu w Palmirach. Było to następne bardzo trudne zadanie. Pomogli nam milicjanci z Łomianek. Radiowóz „Nysa" konwojował i ochraniał dzieci biegnące z pochodnią (żeby nie zaprószyć w lesie ognia od cmentarza w Palmirach do trasy gdańskiej przewoziliśmy samochodem świecę, od której zapalaliśmy pochodnię).

Przybycie zaproszonych reprezentacji sportowych Łomianek i Dziekanowa Polskiego trzeba było zgrać z dobiegnięciem sztafety z Palmir. Wystawiliśmy czujki przy trasie (nie było wtedy telefonów komórkowych). Zanim sztafeta dobiegła od skrzyżowania na Graniczce do szkoły, harcerz stojący na czujce, na skróty był pierwszy. Mieliśmy pięć minut na ustawienie i przygotowanie do uroczystego rozpoczęcia. W sztafecie chciał biec prawie każdy, dzieci rodzice, nauczyciele. Biegał nawet komendant posterunku MO, nieść pochodnię z „ogniem olimpijskim" to był wielki zaszczyt. Najważniejsza była ostatnia zmiana i zapalenie znicza. Potem podniosła chwila wciągnięcia na maszt flagi olimpijskiej i uroczyste słowa wypowiedziane przez dyrektora szkoły „Olimpiadę Harcerską im. Janusza Kusocińskiego uważam za otwartą". Moment zapalenia ognia i wciągnięcia flagi był naprawdę wielkim przeżyciem dla dzieci i dorosłych. Okoliczni mieszkańcy przychodzili oglądać sportowe zawody i dopingować swoje dzieci. Równie ważne było wręczanie nagród (medale i dyplomy). Zwycięzcy z dumą oglądali złote, srebrne i brązowe krążki. Niektórzy jeszcze przez kilka dni po zawodach nosili je do szkoły. Kończąc pierwszą olimpiadę obiecaliśmy, że w następnym roku zorganizujemy drugą.

Dotrzymaliśmy słowa. Do pomocy zgłosiło się wiele osób, każdy miał jakiś pomysł. Jedna z mam, która była instruktorem naszego szczepu pracowała w AWF w Warszawie. Poprzez nią nawiązaliśmy kontakt ze studentami, którzy zostali sędziami naszych zawodów. Również z AWF wypożyczyliśmy ogromną gąbkę na zeskok do nowej konkurencji skoku wzwyż. Jednostka wojskowa z Nowego Dworu Mazowieckiego pomogła nam dostarczyć ją do szkoły. Potrzebny był do tego samochód ciężarowy. Dla dzieci z małej wiejskiej szkoły profesjonalny sprzęt sportowy to było coś. Tak jak spotkanie z mistrzem skoku o tyczce Władysławem Kozakiewiczem, który gościł u nas. W czerwcu wręczał medale na „Olimpiadzie" w Dziekanowie Leśnym, a w lipcu zdobył złoty medal olimpijski w Moskwie.

Kilka pierwszych olimpiad było jednodniowych, ale w miarę zwiększania się ilości konkurencji i ilości dzieci biorących w nich udział postanowiliśmy na sportowo spędzać dwa dni. Pierwszego dnia odbywały się ćwierć i pół finały, a drugiego finały, mecze w siatkówkę między reprezentacjami szkół, no i uroczystość wręczenia medali.

Każdego roku w maju lub czerwcu Łomianki ogarniało „olimpijskie szaleństwo". Do pomocy przy organizacji włączali się już nie tylko harcerze, nauczyciele i rodzice, ale i dyrektorzy szkół, milicja, straż pożarna i służba zdrowia. Szpital Dziecięcy w Dziekanowie Leśnym oddał nam do dyspozycji prawdziwą karetkę pogotowia (w pierwszym roku tę funkcję pełnił motocykl WFM, pożyczony od rodziców). Naczelnik Gminy ufundował puchar. Był to puchar przechodni, który zdobyty trzy razy po kolei przechodził na własność danej szkoły. Fundusze na organizację zawodów zbieraliśmy gdzie się tylko dało. Gmina, Szpital, Zakłady Drzewne, Spółdzielnia Rolniczo-Hodowlana, Straż Pożarna, Posterunek MO wszyscy nam pomagali, a przede wszystkim wspierali i chętnie współpracowali. Kuchnia szpitalna przygotowywała nawet obiady dla sędziów i kadry pracującej od rana do późnej nocy. Nie było komputerów, xero, nawet powielarki. Wszystkie papiery - listy uczestników czy karty do sędziowania pisaliśmy i rysowaliśmy ręcznie. To zajmowało bardzo dużo czasu, bo i uczestników, i konkurencji było coraz więcej. Bieg na 60 m, sztafeta 4x60 m (odbywała się już na ulicy Miłej, która przez co najmniej dwie godziny była zamknięta dla ruchu), skok w dal, pchnięcie kulą, biegi przełajowe, konkurencje sprawnościowe dla młodszych no i oczywiście wyścig kolarski na trasie Łomianki – Dziekanów Leśny. Przy tej konkurencji wszystkie „służby" postawione były na nogi. Ulica Warszawska od szkoły w Łomiankach do Graniczki była zablokowana. Nawet autobusy grzecznie czekały aż kolarze dojadą do mety.

To wszystko co działo się wokół organizacji każdej z dziesięciu naszych Olimpiad było niesamowite. Ogarniało nas jakieś szaleństwo. Pracy było bardzo dużo, nocna zmiana w szkole była normą na kilka dni przed zawodami, ale najważniejsze było to, że mogliśmy liczyć na pomoc wielu ludzi i to nie tylko rodziców. Udawało się „załatwić" rzeczy, które wydawałoby się są nie do przeskoczenia, a do tego wspaniale bawiliśmy się razem z dziećmi.

Organizując pierwszą, a nawet drugą nie myśleliśmy o tym, że Mała Olimpiada Harcerska zagości w naszej szkole na wiele lat, a dokładnie dziesięć lat. Jubileuszowa dziesiąta odbyła się w 1988 r. Zaraz potem rozpoczęła się rozbudowa szkoły, która trwała kilka lat, a po jej zakończeniu nikt już do organizowania olimpiad nie wrócił.

Krystyna Kucharczyk

Rok 1979: Przemarsz na cmentarz w Kiełpinie, warta honorowa

Rok 1980, II Olimpiada Harcerska: Władysław Kozakiewicz wręcza medale uczestnikom II Olimpiady Harcerskiej

Palmiry - zapalenie ognia z grobu Janusza Kusocińskiego

Palmiry. Grób Janusza Kusocińskiego

Sztafeta z ogniem z grobu J. Kusocińskiego

Rok 1988, X Olimpiada Harcerska: flaga olimpijska na maszcie szkoły

Przed wejściem do szkoły

Bieg na 60 m - bieżnia przy szkole

Alina Zabłocka, Janina Bogucka, Danuta Ciszewska i Stanisław Kucharczyk

Skok w dal - boisko szkolne

Sztafeta 4x60 m na ulicy Miłej

Danuta Ciszewska

Wyścig kolarski na trasie Łomianki - Dziekanów Leśny

Konkurencje klas I-III na parkingu w Puszczy Kampinoskiej

Sztafeta 4x60 m. Ulica Miła

Wręczanie nagród: Danuta Dąbrowska, Marzena Ciszewska i Małgorzata Ostrowska

Wręczanie nagród. Alina Zabłocka, Krystyna Kucharczyk, Anna Saturska, Janusz Stolarski, Andrzej Wdowiarski

---Koło Teatralne

W latach 2007 – 2015 w Szkole Podstawowej im. Marii Konopnickiej w Dziekanowie Leśnym działało Koło Teatralne. Prowadziłam je we współpracy z Kołem Plastycznym, którym opiekowała się p. Hanna Matfin, a które przygotowywało dekoracje do przedstawień.

Na przestrzeni w/w lat Koło wystawiło spektakle:

1. „Jaś i Małgosia” (kukiełki, fot. 1, 2)
2. „Tajemniczy ogród (fot. 3)
3. „Ania z Zielonego Wzgórza” (fot. 4, 5)
4. „Śnieżka” (fot. 6, 7)
5. „Kopciuszek” (fot. 8, 9)
6. „Pinokio” (fot. 10, 11)
7. „Kot w butach”
8. „Królowa Śniegu”
9. „Śpiąca królewna”

Beata Zajko

SZKOŁA

---czekamy na

Twoje wspomnienia